

Gra o dorosłość - “Ostatnia Gra diskorda”

Autor: Accurate “Accu” Memory

Korekta: Vulture

Część I - „Starcie sióstr”

Rozdział I: Ostatnia rozmowa

W domu Fluttershy panowała cisza. Nie ta spokojna, domowa — raczej cisza zawieszenia, jak przed burzą. Króliki kicały po ogrodzie, a ich opiekunka właśnie wyniosła miskę z ziarnem. Wewnątrz został tylko on — Discord.

Lord chaosu siedział na poduszce, której kolor zmieniał się co chwilę — od turkusu po bladą lawendę. Ale on tego nie zauważał. W jednej łapie trzymał zdjęcie. Mała Screwball. Na kolanach Fluttershy, z pyszczkiem wtulonym w jej grzywę. Oczka dziewczynki błyszczały — zapatrzona była nie w mamę, ale w wybuchające nad głową fajerwerki, które wyczarował jej ojciec. Czysta zachwył. Bez lęku.

Zdjęcie zadrżało w jego łapie, gdy drzwi zaskrzypiały.

— Przyszłaś — powiedział Discord cicho, bez teatralności, bez fanfar.

Screwball weszła. Miała na sobie czapkę przekrzywioną na bok, różową pelerynkę z frędzlami — jakby próbowała być sobą z dawnych lat, tą zabawną, niegroźną. Ale jej oczy były starsze. I zmęczone. Dokładnie jak jego.

Zamknęła drzwi. Nie podchodziła od razu.

— Odpisałeś — powiedziała. — Myślałam, że nigdy już nie odpowiesz.

Discord odłożył zdjęcie. Spojrzał na nią — znużony, ale uważny.

— Napisałaś do mnie nie jako wojowniczką... tylko jako moja córka. Nie mogłem tego zignorować.

Milczeli. Potem Discord westchnął.

— Wiesz, dlaczego cię wezwałem, kiedy wszystko się waliło?

Screwball skinęła głową.

— Bo zawsze potrafiłam rozbrajać tych, których ty nie mogłeś. Bo jestem dzieckiem. Dziecko, które mówi językiem dzieci. A ich było więcej, niż się spodziewałeś. I byli silniejsi, niż myślałeś.

— A ty? — zapytał. — Też jesteś silna?

— Już nie tak, jak chciałeś, tato.

Zrobiła kilka kroków. Stała blisko.

— Ale silna inaczej. Silna tym, że pozwoliłam im mnie zmienić. Że nie muszę wszystkiego kontrolować. Nie muszę zwyciężać.

Discord skrzywił się.

— To nie brzmi jak moja córka.

Screwball uniosła wzrok. — To brzmi jak twoja lepsza wersja.

Cisza. I echo tamtych fajerwerków, gdzieś z pamięci.

— Ty mnie stworzyłeś — powiedziała spokojnie. — Ale nie wychowałeś.

— Wiem.

— Mama mnie kochała bez warunków. A ty... chciałeś, żebym była twoją bronią.

Discord zacisnął zęby.

— A ty chciałaś być kochana tak bardzo, że przez chwilę naprawdę nią zostałam.

— Tak — przyznała. — I prawie zniszczyłam Camel. I prawie... straciłam Bitsi. Ale nie jestem już tym dzieckiem, które ci ufało bez pytania.

Spojrzała na niego — bez nienawiści. Bez pogardy.

— Jestem tą, która cię kocha... ale nie pójdzie z tobą.

Discord powoli wstał. Zdjęcie spadło na podłogę. Nie podniósł go.

— Więc to koniec?

Screwball uniosła brew. — Nie. Ale to... pauza. Może kiedyś wrócimy do tej rozmowy. Jak równi. Jak ktoś, kto nie musi się już bać.

I wtedy sięgnęła po zdjęcie. Ale nie podała mu go. Złożyła je ostrożnie i schowała do torby.

— To mi przypomina, kim byłam. I że nawet wtedy... patrzyłam na ciebie z zachwytem.

Drzwi zaskrzypiały po raz drugi. Zanim wyszła, powiedziała tylko:

— Tato. Jeśli kiedyś znów zapragniesz być kimś więcej niż tylko chaosem... znajdziesz mnie. Już wiesz, gdzie.

Zniknęła w słońcu. A on został — z pustą łapą.

Po raz pierwszy od bardzo dawna... Discord nie miał nic do powiedzenia.

„Ostatnia rozmowa” — oczami Discorda

Dom Fluttershy pachniał suszoną miętą i sianem. Był zbyt spokojny. Zbyt zwyczajny. I zbyt pusty. Discord nie potrafił usiedzieć w miejscu, ale tym razem nawet nie próbował się ruszyć.

Siedział na poduszce. Ta zmieniała kolory, jakby usiłowała go pocieszyć. Bez skutku.

W łapie trzymał zdjęcie. Stare. Róg dziewczynki lśnił w blasku sztucznych ogní, które wyczarował tylko dla niej. Uśmiechnięta Fluttershy obejmowała ją czule, ale to on był w centrum jej uwagi. On. Jej tata. Jej cały świat.

To wtedy wszystko jeszcze działało. Wtedy wystarczyło zrobić błysk, skrzywić rzeczywistość i... wywoływał śmiech. I zachwyt.

Teraz... nie było nic. Tylko zdjęcie. I szelest otwieranych drzwi.

Wiedział, że to ona, zanim jeszcze weszła.

— Przyszłaś — wyszeptał. Nie chciał brzmieć słabo. Ale to nie miało już znaczenia.

Weszła, taka sama i zupełnie inna. Jej ruchy były mniej rozkołysane. Jej spojrzenie — bardziej pewne. I coś w nim bolało go najbardziej. Już nie był jedynym, którego oczy lśniły.

— Napisałaś do mnie... jako córka — pomyślał. — A ja nie potrafiłem być ojcem.

Kiedy powiedziała, że wiedziała, po co ją wezwał... nie zaprzeczył. Oczywiście, że ją potrzebował. Zawsze była jego ostatnią kartą. Tą, której nawet harmonia nie rozumiała. Dziecko chaosu, miękkie jak wata cukrowa, twarde jak stalowa sprężyna.

Ale nie wiedział, że aż tak się zmieni.

Kiedy mówiła, słuchał. I każdy jej wyraz wbijał się jak cierní. Nie dlatego, że była zła. Tylko dlatego, że miała rację.

— „Już nie jestem tym dzieckiem, które ci ufało bez pytania.” — Te słowa zostały z nim jak echo. Wiedział, że przyszedł moment, którego nie da się cofnąć.

Kiedy sięgnęła po zdjęcie, przez ułamek sekundy chciał je jej odebrać. Ale nie mógł. Bo należało do niej. I zawsze należało. On tylko rzucał fajerwerki.

— "To mi przypomina, kim byłam... I że nawet wtedy patrzyłam na ciebie z zachwytem."

Zachwyt. Już go nie było.

Zostało światło. I puste miejsce na poduszce.

Gdy zniknęła, nie zawołał za nią. Nie dlatego, że nie chciał. Tylko dlatego, że pierwszy raz... nie wiedział, co powiedzieć. On, Pan Rzeczy Niepowiedzianych.

I wtedy zrozumiał coś, czego nie chciał przyjąć wcześniej.

Nie stracił córki.

Po prostu... przestała być jego cieniem.

I może — może właśnie w tym był ratunek.

„Pamiętam” — wspomnienie Screwball

Screwball szła powoli. Ścieżka pod kopytkami skrzypiała znajomo — jak w dzieciństwie, kiedy gnała nią z językiem na brodzie, żeby zdążyć na kolację. Ale tym razem... nie biegła. I nie gonił jej śmiech.

W oddali, za polaną, widać było ogon Camel — fioletowy błysk, ledwo widoczny wśród traw. Dziewczynka-klaczka śmiała się, galopując wokół krzaków. Jeszcze nie wiedziała, że Screwball patrzy. Jeszcze nie zauważyła, że świat się zmienił.

Screwball przystanęła.

Spojrzała na chatkę za sobą. Światło w oknie. Miękkie, żółte, jak zawsze. Przez szybkę dostrzegła znajomy kształt: poduszka, która kiedyś umiała lewitować tylko wtedy, gdy Fluttershy się śmiała. I bujany fotel. Pusty.

Wtedy przyszło wspomnienie. Nie wielkie. Nie dramatyczne. Małe. Ciche. Takie, które łapie za gardło.

Była bardzo mała. Jeszcze nie umiała mówić dobrze. Ale bąbelki w jej herbatce zawsze układały się w serduszka, kiedy tata był w pobliżu.

Siedziała na jego ogonie, owinięta różowym kocykiem, a jego palce — długie i absurdalnie giętkie — kręciły nad jej głową figury z chmur.

— Widzisz? — mówił wtedy. — To jest motyl, a to... bałwan bez głowy. I tu... proszę bardzo — wyczarował kucyka z pianki. — Ty.

Zachichotała. Nie potrafiła jeszcze wypowiedzieć jego imienia. Ale patrzyła na niego, jakby był wszystkim. Tatą. Magią. Niebem.

Potem, kiedy za bardzo się rozkołysała, zaczął nucić. Nie melodię. Tylko rytm.

— Bum... bum... bum... — bił ogonem w podłogę, jak bęben.

Ona odpowiedziała — stópką, delikatnie.

— Bum... bum...

Ich pierwszy rytm. Ich pierwszy język. Ich pierwsza synchronizacja.

Screwball przełknęła łzę.

Camel przystanęła w oddali. Spojrzała jej prosto w oczy. I przez chwilę... jakby też poczuła echo tamtego rytmu. Rytmu, który teraz Screwball przekazała dalej. Nowej dziewczynce. Nowemu światu.

Ale serce... serce nadal biło w tamtym rytmie.

— Bum... bum... bum... — wyszeptała cicho, patrząc w stronę chatki.

A potem ruszyła dalej.

Nie była już córeczką chaosu.
Była kimś więcej.

Była sobą.

Rozdział II: Dziedzictwo serca

„Miłość, która łamie zaklęcia”

— Naprawdę walczyłabyś z siostrą?

Głos pojawił się nagle. Cichy. Ciepły. I znajomy tak bardzo, że Screwball aż zadrżała.

Zanim zdążyła się odwrócić, poczuła mokry całus na policzku.

Mama.

Fluttershy stała obok niej — z lekko pochyloną głową, jak zawsze, kiedy coś ją martwiło... i jednocześnie rozczulało. Na jednym z kopytek trzymała królika z zabandażowaną łapką. Mały, marudny, ale otulony opieką. Nawet on był dziś cicho.

Screwball spuściła wzrok.

— Wiem, że przyszedł się pożegnać — powiedziała Fluttershy łagodnie. — Ale nie pozwolę ci odejść bez słowa.

Milczały przez chwilę razem. A potem Fluttershy westchnęła.

— Wiesz... Ja dałam szansę twojemu tacie. Choć za pierwszym razem nie było dla niego ratunku. On nie potrafił wtedy słuchać. Mówił dużo... za dużo... ale nie słuchał.

Przesunęła skrzydłem Screwball po grzbiecie. Córka zadrżała. Jak dawniej.

— Ale jestem z ciebie dumna, Skruśka. Naprawdę. Masz wielkie serce. I to, że chciałaś mu pomóc — nawet gdy on cię ranił, nawet kiedy nie rozumiał... to nie świadczy o tobie źle.

Jej głos stężał tylko na moment.

— To świadczy o tobie pięknie.

Screwball podniosła oczy. Miała w nich łzy — ale nie słabości. Tylko zrozumienia.

— Ale on... — Fluttershy spojrzała w dal, na niebo, które znów było czyste. — On chyba nigdy się nie zmienia.

Królik na kopytku kichnął cicho, jakby przytakując.

— Chaos jest wieczny — szepnęła. — Kucyki zawsze będą się kłócić, nie zgadzać... nawet ze sobą. A dopóki tak będzie, Discord będzie istniał. Jako cień. Jako szept.

Odwróciła się do córki. I wtedy padło to pytanie:

— Więc gdyby taki świat znów chciał zamienić go w kamień... sprzeciwiłabyś się Harmonii?

Screwball cofnęła się o pół kroku. Wiedziała, dokąd zmierza to pytanie.

— Jak wtedy, gdy złamałaś moje zaklęcie i moich przyjaciółek?

W głosie Fluttershy nie było wyrzutu. Była... duma. Cicha, pełna zrozumienia.

— To było silne zaklęcie — powiedziała mama. — Przyjaźń sześciu serc. A jednak... złamałaś je. Miłością. Tęsknotą. Wiarą, że tata potrafi być lepszy.

Spojrzała córce głęboko w oczy.

— To było osiągnięcie. Nawet moje zaklęcie... nie miało szans z twoim sercem.

Screwball nie odpowiedziała od razu. Tylko się wtuliła. Jak wtedy, kiedy była mała i bała się nocy. A potem szepnęła, bardzo cicho:

— Nie wiem, czy bym znów to zrobiła, mamó. Ale wiem, że nie pozwoliłabym nikomu zostać samemu. Nawet jemu.

Fluttershy pocałowała ją w czoło.

— Wtedy znów byłabyś sobą, Skruśka. A to wystarczy.

„Jesteś dziedziczką nas obu”

Screwball stała w miejscu, z czołem jeszcze opartym o bok mamy. Ale wiedziała, że ta chwila nie będzie wieczna.

Fluttershy wzięła głęboki oddech, a potem zapytała spokojnie, jakby знаła już odpowiedź:

— Wiesz, czemu twój tata zaatakował tamten świat? Czemu wezwał cię na pomoc? Czemu pokładał takie zaufanie w swoje dziecko?

Screwball nie uniosła głowy. Wiedziała, że to ważne pytanie. Takie, które zostaje w środku na zawsze.

Fluttershy nachyliła się i szepnęła:

— Jesteś dziedziczką nas obojga. Nigdy o tym nie zapomnij. Jesteś chaosem... zdolnym do miłości. I harmonią... zdolną do chaosu.

Jej głos był jednocześnie kojący i przerażająco prawdziwy.

— Nic nie jest tylko czarne albo białe — dodała. — Nawet ja.

Zamilkła na chwilę. Królik w jej ramionach poruszył się niespokojnie, jakby czuł ciężar tego, co miało paść.

— Ja też kiedyś... dałam się zwieść twojemu tacie — szepnęła. — Za pierwszym razem... też rozdzielił nas, jak te dzieci z tamtego świata. Bawił się nami. A we mnie... obudził drugą stronę.

Screwball spojrzała na nią. Fluttershy miała w oczach cienie wspomnień.

— Okrucieństwo — dodała cicho. — Tak, ono też żyje w łagodności, jeśli zostanie zraniona.

Zamilkła. Potem uśmiechnęła się smutno.

— Ale twój tata... tutaj już tego nie robi. Obiecał. I dotrzymuje słowa. Zmienił się, na tyle, na ile potrafił.

Fluttershy spojrzała na niebo. Zza gałęzi klonu przemykała Camel, jeszcze nieświadoma, że ktoś o niej mówi.

— Ale tamten świat... świat tych dzieci... nie był jego. Nie miał tam zobowiązań. Mógł znów być sobą.

Jej głos przygasł.

— Gdyby ci się wtedy udało złamać wolę tej drugiej klaczki... Bitsi... wszystko mogło się skończyć inaczej.

Zwróciła się do Screwball poważnie, dobitnie:

— Ten świat... zostałby jego nowym placem zabaw.

Screwball przełknęła ślinę. Czuła, jak chłód przechodzi jej po grzbiecie.

— Ale nie zламаłam jej — powiedziała cicho. — Nie dała się. I... może dobrze.

Fluttershy skinęła głową z łagodną dumą.

— Może właśnie dlatego ją wybrał. Ale to ty... byłaś ostatnią próbą. Nie zapomnij tego, Skruśka. Nie dlatego, by się obwiniać. Tylko... by pamiętać, jak blisko byliśmy granicy.

— I jak ją przeżyliśmy — dodała Screwball. — Nie dzięki sile. Tylko... że ktoś nie przestał wierzyć.

— W ciebie — powiedziała Fluttershy i dotknęła jej serca końcem skrzydła. — I to wszystko zmieniło.

„Między światami”

— Wiesz — zaczęła Fluttershy łagodnie, choć jej głos miał teraz inną barwę — gdyby twojemu tacie groziło niebezpieczeństwo... walczyłybyś z tą, którą sama nazwałaś „klaczką harmonii”?

Screwball zamarła.

— I wiesz, że nie mówię o niej... — mama uniosła kopytko i wskazała mostek.

Po drugiej stronie Camel leżała spokojnie nad strumykiem, z nogami zanurzonymi w wodzie. Jeszcze nie wiedziała, że jest tematem rozmowy. Jeszcze była w swoim śnie — w swoim teraz.

Ale nagle...

Coś trzasnęło.

Nie głośno. Nie dramatycznie. Ale tak, jakby samo powietrze nagle przypomniało sobie, że może pękać.

— Och, oczywiście że muszę to usłyszeć — rozbrzmiał znajomy, zbyt dobrze znany głos.

Discord.

Nie jak potwór. Nie jak demon. Jak... tata.

Stał obok nich, jakby wyszedł z cienia drzewa. Jedno oko błyszczało rozbawieniem. Drugie... chłodem.

Uśmiechnął się do córki. Tajemniczo. Półżartem, półgroźnie. A potem spojrzał, niemal leniwie, na Camel leżącą po drugiej stronie strumyka.

— Mogłaś być tak silna jak Screwball — mruknął. — A to odrzuciłaś...

Nie brzmiało to jak wyrzut. Bardziej jak rozważanie — smuga myśli zawieszona nad światem.

Potem znów spojrzał na Screwball. Tym razem inaczej. Nie pytał słowami. Ale jego brwi — uniesione, pytające — były jak ostrze wbite w serce. Czekał na odpowiedź. Na jedną, prostą deklarację:

Kogo by wybrała?

Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć Pstryknięcie palcami — i obraz zmienił się.

Już nie Camel, lecz Bitsi. Dziewczynka, która stała się klaczką, tylko po to, by ocalić innych. Bitsi, przeglądająca się w kałuży po raz pierwszy, odkąd przyjęła zaproszenie Screwball — ale nie jako narzędzie, tylko jako siostra, której dano wybór.

To Bitsi była celem.

To ją chciał złamać.

To ją Screwball musiała kiedyś wybrać... albo ochronić.

Discord spojrzał córce w oczy.

— Czy naprawdę... odwróciłaś się ode mnie? — zapytał cicho.

Screwball nie odpowiedziała. Jeszcze nie.

Ale patrząc na ten obrazek, na śmiejące się dziecko, które samo odnalazło melodię w chaosie — wiedziała, że coś się zmieniło.

Rozdział III: Wybór

Screwball wpatrywała się w obrazek. W śmiejące się dziecko, w błysk w oczach Bitsi, w kałużę, która stała się lustrem duszy. Wspomnienie pulsowało w powietrzu jak ciepło po zgaszonej świecy.

Przełknęła ślinę.

— Tata...

Jej głos zadrżał. Delikatnie. Jakby każde słowo ważyło więcej, niż była gotowa unieść.

— Gdy byłam mała... myślałam, że mogę wszystko naprawić. Że jeśli tylko wystarczająco się postaram, to chaos przestanie ranić. Że jesteś po prostu... niezrozumiany.

Zamilkła. Fluttershy spojrzała na nią spokojnie, nie przerywając.

— Potem zobaczyłam, co zrobiłeś Camel. I co chciałeś zrobić Bitsi. I wtedy zrozumiałam coś strasznego.

Podniosła wzrok. Spotkała jego oczy.

— Że jesteś tym, kim jesteś... bo tak wybrałeś.

Discord uśmiechnął się krzywo, ale nie skomentował.

Screwball zrobiła krok do przodu. I jeszcze jeden.

— Ja cię kocham. Nadal. I chyba zawsze będę. Ale jeśli pytasz... czy bym walczyła z nią... z Bitsi... jeśli ona stanęłaby między tobą a światem, który próbujesz złamać...

Zatrzymała się.

Odetchnęła.

— To tak, tato. Stanęłabym po jej stronie.

Jej głos nie był już pęknięty. Był cichy. Ale równy.

— Bo ona mnie nie potrzebuje, żeby się śmiać. A ty... potrzebujesz, żebym śmiała się z twoich iluzji. To nie jest to samo.

Discord spojrzał na nią długo.

W jego oczach przez chwilę błysnęło coś niejasnego — smutek? złość? duma?

A potem westchnął. Odwrócił wzrok.

— Wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie.

Zniknął w cieniu drzewa.

Nie trząsał. Nie pstrykał. Po prostu... odszedł.

Screwball stała jeszcze przez chwilę. Potem poczuła ciepły pysk mamy, który przytulił się do jej szyi.

Fluttershy nie mówiła nic.

Ale Screwball wiedziała.

Wybrała.

I choć bolało...

To był jej wybór.

Fluttershy milczała chwilę, patrząc za znikającym cieniem Discorda. Potem westchnęła. Cicho. Smutno.

— Wiesz... ja myślę, że twojemu tacie chodziło o coś innego — powiedziała w końcu. — Pytał... czy gdyby jemu coś groziło... naprawdę stanęłabyś przeciw swojej siostrze.

Screwball odwróciła wzrok. Ale nie odpowiedziała.

— On to słyszał, kochanie — szepnęła Fluttershy. — Słyszał, co jej powiedziałaś.

Spojrzała na córkę łagodnie, ale z bólem w oczach.

— Obiecałaś Bitsi, że pomożesz jej odzyskać rodziców z posągów. Ale jeśli będzie chciała zamienić jego w kamień... tak jak ja kiedyś... powiedziałaś, że to byłaby zdrada.

Screwball zamarła.

A potem usłyszała to. Nie na głos. Nie w powietrzu.

W sobie.

„I jak, córciu?”

Głos Discorda zabrzmiał w jej umyśle jak echo, którego nie dało się zagłuszyć. Był spokojny. Nawet czuły.

„Już rozumiesz, o co pytałem?”

Obraz w głowie: polanka. Tamten cień. Ten, który prawie dosięgnął Bitsi. Screwball wtedy zdołała go odesłać. Jeszcze zanim ojciec ją przyłapał.

„Pamiętasz? Prawie ci się udało. Ochronić ją. Ale wtedy... już wiedziałem, że masz odpowiedź. Tylko jeszcze nie chciałaś jej przyznać.”

Głos cichł. Ale jedno zdanie, ostatnie, brzmiało jak uderzenie dzwonu:

„To było moje pytanie, Screwy. I nadal czekam.”

W tym samym momencie Fluttershy dostrzegła Camel.

Klaczka powoli zbliżała się do mostka. Delikatnie stąpała po trawie, jakby nie chciała nikomu przeszkadzać. Jakby coś wyczuwała.

Screwball zamknęła oczy.

Oddychała głęboko.

A potem, bardzo cicho, ale wyraźnie, powiedziała:

— Gdyby chciała go zamienić w kamień... pomogłabym jej. Nawet jeśli by bolało.

Fluttershy nie odpowiedziała. Przytuliła ją tylko lekko, obejmując skrzydłem.

Screwball otworzyła oczy. I spojrzała na Camel.

— Ale zanim do tego dojdzie... zrobię wszystko, żeby do tego nie doszło. — Jej głos był teraz silniejszy. — Bo ja też jestem jego córką. I nie chcę, żeby zginął. Nie chcę, żeby był potworem. Chcę, żeby... w końcu zrozumiał.

Camel stanęła już blisko. Nie słyszała rozmowy. Ale coś w jej oczach powiedziało: czuję, że coś się zmienia.

A Discord?

Nie odpowiedział. Ale Screwball wiedziała, że usłyszał wszystko.

I że teraz naprawdę będzie musiał wybrać — czy kocha córkę wystarczająco, by się zmienić.

„Mostek”

Camel podeszła powoli. Na jej pysku widać było lekką niepewność — może nawet zawstydzenie. Jakby bała się, że przeszkadza w czymś ważnym. Ale też... potrzebowała być blisko.

Screwball nie odwróciła się od niej.

Usiadła po prostu na trawie i czekała.

Camel zatrzymała się tuż obok. Spojrzała na mostek, potem na strumień, a dopiero na końcu — na siostrę.

— Przepraszam, że podsłuchałam — powiedziała. — Nie wszystko. Ale trochę... czułam.

Screwball skinęła głową. Nie musiała niczego wyjaśniać.

— To nie był przypadek, prawda? — Camel położyła się obok, ale z głową uniesioną. — Że mnie porwałś.

Głos jej zadrżał.

Screwball długo milczała. A potem westchnęła:

— Nie był. Ale też... nie był tylko rozkazem. — Spojrzała w dal. — Widziałam cię wtedy. Na scenie. Tańczyłaś... i byłaś tak sama. Jak ja kiedyś. I pomyślałam... że jeśli cię zabiorę, to przynajmniej nie będziesz się już czuła tak, jak ja się kiedyś czułam.

Camel zamknęła oczy.

— Było mi... dobrze — szepnęła. — Przez chwilę. A potem... nie wiedziałam już, kim jestem. Czy klaczką. Czy dziewczynką. Czy lalką...

— Nie jesteś lalką — powiedziała Screwball. — Nigdy nie byłaś. Jesteś żywa. I jesteś... sobą.

Camel spojrzała na nią. Długo. A potem zapytała:

— A ty? Kim ty jesteś?

Screwball zamrugła.

Po raz pierwszy od dawna... nie miała gotowej odpowiedzi.

Ale Camel się nie uśmiechała złośliwie. Tylko wyciągnęła kopytko i dotknęła jej łopatki.

— Dla mnie jesteś tą, która mi to powiedziała. — Zawahała się. — Nawet jeśli wcześniej... mnie skrzywdziła.

Screwball przełknęła ślinę. Głos ugrzął jej w gardle.

— Wiem. I nie oczekuję przebaczenia.

— Ale może je dostaniesz — szepnęła Camel. — Nie od razu. Ale... ja też się zmieniam.

Na chwilę zapadła cisza.

Słychać było tylko plusk strumyka. Gdzieś z oddali dobiegał głos Fluttershy rozmawiającej z jakimś jeżem, który chyba znów utknął w krzaku.

A potem Camel dodała jeszcze:

— Gdybyś musiała wybrać... znowu. Między mną a nią. Wybrałabyś Bitsi?

Screwball wzięła głęboki oddech.

— Nie między. Ale dla. Dla was obu.

Camel zmarszczyła brwi.

— To nie odpowiedź.

— Ale to prawda. — Screwball uniosła wzrok. — Nie chcę już wybierać, kogo ranić. Chcę... szukać drogi, która ocali was obie.

Camel westchnęła.

A potem się uśmiechnęła. Tylko trochę. Ale prawdziwie.

— To brzmi jak coś, co powiedziałyby klaczka harmonii.

Screwball spojrzała na nią zaskoczona.

— Ja? Ale ja...

— ...nie jesteś tylko chaosem. Już nie.

Siedziały razem na brzegu strumienia. Dwie klaczki. Dwie siostry. I dwa serca, które nie chciały już więcej być przeciwko sobie.

A mostek... łączył, nie dzielił.

Rozdział IV: Nasionko i Płomień

„Nasionko”

Camel spojrzała na Screwball spokojnie, ale z powagą, która nie pasowała do jej wieku.

— Wiesz... Bitsi powiedziała mi, że postawiłaś jej ultimatum... Zanim zmierzyliście się z twoim ojcem. Zanim po mnie przyszlście... Powiedziała, że ją ostrzegłaś. Że twój ojciec musi odejść bez szwanku. Że będziesz go bronić, jeśli użyją Harmonii przeciw niemu. Mówiła, że już raz złamałaś to tęczowe zaklęcie. A twój tata użył czegoś podobnego, żeby uwięzić naszych rodziców...

Zamilkła.

— To musi być straszne... być świadomym kamieniem. Rodzice w Ogrodzie Posągów byli. Cały czas wiedzieli, co się z nami dzieje. Płakali... a my ich słyszeliśmy. — Camel dotknęła piersi. — Tu.

Z juków wyjęła coś, co tętniło cicho — jak żyjące serce.

Intensywnie pulsujące nasionko. Magia chaosu. Taka sama, jak u Screwball.

— On mi to dał, kilka dni temu. To to samo, co próbował we mnie zaszcześcić siłą. — Camel ściszyła głos. — To bardzo potężna magia... Ja nie przyjąłem jej wtedy. Bo była narzucona. I nie chciałem być zmuszona do walki przeciw przyjaciołom.

Uniosła wzrok, skupiając się.

Była kucykiem ziemnym. Ale gdy dotknęła nasionka — jej oczy zabłyśły. Fioletowy blask, a w tęczęwkach przez krótką chwilę pojawiły się spiralne wzory. Jak u Screwball.

Wykonała prosty gest kopytkiem.

Pobliska gałązka zaczęła lewitować.

Screwball aż cofnęła się o krok. I nie dlatego, że się bała.

Tylko dlatego, że zrozumiała.

— Camel... — wyszeptała.

Ale Camel już wiedziała, co musi zrobić.

— Chciałem, żebyś to ty to miała. Ale teraz... rozumiem, że nie można oddać decyzji. To moja decyzja.

Wzięła nasionko. Spojrzała raz jeszcze na Screwball.

— Nie zrobię tego z przymusu. Ale nie mogę też już być nikim.

I wtedy — połknęła je.

Bez dramatyzmu. Bez światła i wybuchów.

Tylko cichy błysk w oczach. Jakby coś wróciło na swoje miejsce.

Gałązka opadła na trawę. Spiralny blask zniknął. Camel oddychała spokojnie.

— Teraz... to część mnie. Ale ja decyduję, kim jestem. I po czyjej stronie.

Screwball patrzyła na nią długo. Bez słów. Z uczuciem, którego nie dało się nazwać.

Nie była już tylko dzieckiem, które trzeba było chronić.

Była kimś więcej.

„Dziedzictwo chaosu”

Camel uśmiechnęła się szeroko.

Nie jak ofiara, nie jak dziecko zagubione w śnie. Jak ktoś, kto już wie.

Wyciągnęła z juków jeszcze jeden przedmiot.

Niebieski smoczek. Ten sam, który kiedyś należał do Bitsi. Ten, który Discord zostawił — niby przypadkiem.

Patrzyła na niego chwilę, a potem — bez zawahania — włożyła go sobie do pyszczka.

— Wiesz... zobaczmy, czy twój tata nie kłamał — mruknęła z figlarną powagą. — Czy naprawdę będę umiała to, co ty...

Zamknęła oczy.

I wtedy — magia chaosu rozbłysła. Różowo-fioletowy blask, znajomy i obcy jednocześnie, otulił smoczek iluzją. Iluzją ciepłego płomienia.

Płomień nie parzył. Nie bolał.

Ale wnikał do środka — rozgrzewając każdy mięsień i każdy nerw. Jak rozkoszny sen. Jak zmysłowe wspomnienie.

Camel przymknęła oczy z westchnieniem.

A Screwball...

Zamarła.

Bo ten widok, ten moment, już się wydarzył.

Wspomnienie wróciło jak cios. Jak ostrze z przeszłości.

— Patrz, tato! — pisnęła rozpromieniona mała Screwball. — Mogę ją poczuć całą... aż do samego serduszka!

Bitsi jęknęła, czując dreszcz. Jej ciało zadrżało.

Magia chaosu otuliła smoczek. Ciepły płomień. I wtedy...

— Ooo, ale cieplusio! — zaświergotała Screwball. — To tak miło, że się dzielisz, siostrzyczko!

Camel... była dokładnie tam, gdzie kiedyś była ona.

Tylko że Camel... nie była Bitsi.

I nie była też córką chaosu. Jeszcze nie.

— Nie bój się, siostrzyczko — szepnęła Camel, nie otwierając oczu. — Ja nikogo nie krzywdzę. A dla mnie... to nawet miłe.

Jej głos był łagodny, spokojny. Jakby mówiła przez sen. Ale Screwball wiedziała, że Bitsi to usłyszy. Że poczuje.

— Po prostu wysyłam jej wiadomość. Tak samo, jak ty to później zrobiłaś. Gdy powiedziałaś, że na razie nic mi nie jest, bo spałam...

Smoczek poruszył się lekko w jej pysku. Płomień rozbłysł raz jeszcze — tym razem głębiej. Delikatniej. Jak serce.

— Ooo... to zakłęcie jest naprawdę miłe... — Camel otworzyła oczy.

Spiralne źrenice.

Te same.

— Powiedz mi... jeśli nie zamierzam być zła... czy mogę się nazywać klaczką chaosu? — zapytała figlarnie.

Screwball nie zdążyła odpowiedzieć.

Bo za ich plecami...

Discord dusił się ze śmiechu.

Latał w powietrzu, obejmując brzuch jak klaun po własnym żarcie.

— AHAHAHAHA! — zawył. — A tahahahak się opierała! AHAHA!

Nie mógł przestać.

— Jak to jest, moje dziecko... — parsknął w końcu, wisząc do góry nogami — ...walczyć z całych sił, nawet we śnie... a potem i tak przyjąć to, co JA sam chciałem ci dać?

Spojrzał na Camel, która właśnie zsunęła smoczek z uśmiechem zadowolenia.

A potem — na Screwball.

Nie pytał już o wybór. Nie musiał.

Obie już go przecież dokonały.

„Nie jestem twoją marionetką”

Camel westchnęła.

Głęboko. Cicho. Ale z mocą, która nie potrzebowała słów.

Jej oczy znów zabłyśły spiralnym światłem. Podniosła kopytko i tupnęła.

Ziemia zadrżała. Powietrze zatrzepotało jak skrzydła.

A potem... klatka z chmur opadła na Discorda — miękka, puchata, ale zamknięta. Otuliła go jak kokon ze światła i pary.

— Nie chciałam być twoim narzędziem — powiedziała cicho Camel, patrząc mu prosto w oczy. — Nie chciałam walczyć dla ciebie przeciwko przyjaciołom.

Discord spojrział na nią z rozbawieniem. I po prostu... roześmiał się.

— Ale wiesz, że i tak wygrałem, prawda? — zaśmiał się, rozciągając się leniwie.

Uniósł łapy i chmury... rozsunęły się jak zasłona.

— Screwy? — zawołał w jej stronę, unosząc się w powietrze. — Nie przypomina ci to naszych zabaw? Gdy byłaś malutka i próbowałaś złapać tatusia?

I poleciał.

Wielki duch chaosu, uciekający z rykiem śmiechu, gdy Camel rzucała w jego stronę olśniewające spirale magii chaosu. Kolory wirowały jak karuzela. Wybuchwały konfetti, zakrzywiały rzeczywistość. Jeden z zakłęb przybrał kształt balona zębatego rekina.

— Musisz się jeszcze wiele nauczyć, córcia! — wykrzyknął Discord, znikając za drzewem.

W tej samej chwili, ze strumyka wyrwał się wodny wąż, utworzony przez Camel z czystej, żywej magii. Rzucił się ku ojcu, który w ostatniej chwili przekręcił rzeczywistość na bok, by go uniknąć.

— Nie jestem... — zaczęła Camel, ale Discord uniósł palec.

— JESZCZE NIE! — krzyknął z uciechą. — Prawda, Screwball?

Odwrócił się teatralnie, wskazując na klaczkę, która patrzyła w milczeniu.

— Nadmiar chaosu działa jak... pyszny cukierek! — rozpromienił się. — Lubiłaś cukierki, Screwy!

Screwball nagle zrozumiała wszystko.

To samo robił z nią. Zawsze. Zabawa, zachwyt, błysk w oku — wolność podana w formie gry. Chaos jako nagroda. Chaos jako ucieczka. Chaos jako... dziedzictwo.

Camel nie była jeszcze tak biegła. Nie miała tej wprawy. Ale miała coś innego — prawdziwy zapał. A to wystarczało, by gra trwała.

Discord miał wielki ubaw.

Skręcił w locie, odwrócił się, zasalutował i...

— Broń mnie, Screwy! Inaczej...!

Skulił się teatralnie za Screwball, chowając się jak za tarczą.

A zza drzew...

leciało pianino.

Stare, zielonkawe pianino, wyrwane z pobliskiego drzewa i zmienione w broń magii chaosu.

Camel chichotała radośnie, turlając się z boku na bok, gdy Discord złapał instrument w locie i zaczął na nim grać walca — na odwróconych nutach.

Rodzina chaosu.

Siostry.

Ojciec.

I gdzieś, między śmiechem a iskrą — pytanie w oczach Screwball.

Czy jeszcze można ich uratować...?

Rozdział V: Zatrącenie

„Pęknięcie”

Śmiech Camel rozlewał się po polanie jak ciepły deszcz — chaotyczny, iskrzący się magią. Discord, unosząc się nad strumykiem, właśnie grał lewym kopytem na zielonym pianinie, które chwilę wcześniej było drzewem.

Screwball... nie ruszała się. Patrzyła. Widziała zapał Camel. Jej błyszczące oczy. Spiralne źrenice. Zachwyt. I to, jak bardzo przypominała ją samą sprzed lat.

Aż...

Pękło powietrze.

Tym razem dosłownie — jakby ktoś rozdarł zasłonę snu. Iluzja zadrżała, niebo zamigotało różowym światłem i...

Bitsi stanęła na środku polany.

Zawiała jej grzywa, lekko zjeżona. Oddech miała płytki, serce waliło. Jej oczy — szeroko otwarte — przesuwaly się po scenerii, jakby nie rozumiała, co widzi.

— Screwball? — wyszeptała. — Co się stało z Camel?

Spojrzała na kucyka, który właśnie unosił się nad ziemią, pokryty wirującą energią chaosu, z oczami jak spirale i smoczkiem w pyszczku, świecącym ciepłym ogniem.

— Co ty jej zrobiłaś?

Bitsi zrobiła krok naprzód, z trudem omijając magiczne ślady na ziemi.

— I... co tu się w ogóle dzieje? — zapytała ostro. — Czemu mnie tu wezwałaś?

Głos jej nie był pełen oskarżenia. Raczej lęku i troski. O Camel. O siostrę. O to, czy to miejsce to jeszcze sen... czy już pułapka.

Na dźwięk jej głosu Camel przestała się śmiać. Obróciła się powoli, jej oczy nadal błyszczały — ale w ich centrum coś zadrżało.

— Bitsi... — powiedziała miękko. — To nie tak...

Discord uniósł brwi teatralnie i uklonił się z powietrza.

— Witaj z powrotem, najmilsza z kłaczy harmonii. Pytanie brzmi: czy zdążysz jeszcze coś zmienić, zanim twoja droga siostrzyczka zapomni, kim była...?

Zamilkł.

Cisza, która zapadła, była ostra jak igła.

Wszyscy patrzyli na Screwball.

A ona — nagle, pierwszy raz od dawna — nie wiedziała, co powiedzieć.

Camel unosiła się nad ziemią, tuż przed Bitsi. Wciąż miała w pysku smoczek, który płonął ciepłym, różowo-fioletowym światłem. Jej źrenice wirowały powoli jak małe galaktyki. Gdy tylko usłyszała swoje imię z ust Bitsi, uśmiechnęła się jak mała kłaczką... ale z cieniem czegoś innego w spojrzeniu.

— Bitsi... przecież mnie znasz — szepnęła. — Wiesz, że to tylko zabawa, prawda?

Nie czekała na odpowiedź.

Zamrugnęła. Jej kopytko błysnęło — a z ziemi, pod Bitsi, wyrosły miękkie korzenie, skręcone jak we śnie. Nie trzymały jej, nie więziły. Kołysały, jakby chciały przytulić. Owinąć. Uspokoić.

— Chciałam tylko spróbować tego, co ty wtedy czułaś... — mruknęła Camel i zsunęła się delikatnie na ziemię, stając naprzeciw siostry. Podeszła powoli. Bez groźby. Ale z siłą.

Bitsi nie odsunęła się — jeszcze.

— Czułam... że coś wtedy rozumiesz. Że naprawdę wiesz, co znaczy być... złączona. Do samego środka. Do serca — mówiła dalej Camel, pochylając się i dotykając czołem czoła Bitsi.

Magia smoczka zadrżała.

Bitsi poczuła znajomy impuls.

Ten sam, który wtedy przeciągnął jej serce przez słomkę chaosu.

Ale teraz... to nie bolało. To nie była agresja. To było jak pytanie zadane emocją.

„Pamiętasz, siostrzyczko? Czy nadal mnie czujesz?”

Camel zamknęła oczy.

Płomień przy smoczku rozświetlił się jaśniej. I wtedy Bitsi...

Zadrżała.

Ciało napięło się od środka. Jeden mięsień po drugim reagował. Skóra zadrgała pod sierścią. Nie od bólu, lecz od... intymnego dotyku, który nie miał fizycznej formy. Jakby serce Camel wyciągało nitkę jej duszy, by sprawdzić, czy są jeszcze splecione.

— Nie bój się... — szepnęła Camel, nie otwierając oczu. — Ja... nie chcę cię zmuszać.

Ale...

— Chciałam wiedzieć, czy... nadal jestem twoją siostrą.

Głos się jej załamał.

W smoczku zgasł płomień.

Bitsi oddychała ciężko, zdezorientowana.

Nie wiedziała, czy właśnie została zaatakowana — czy przytulona z głębi snu. Ale wiedziała jedno:

To nie była już ta sama Camel.

„Jeszcze głębiej”

Camel westchnęła miękko, przeciągle, z teatralną przesadą, jakby naprawdę chciała zrobić na kimś wrażenie — może na ojcu, może na siostrze, a może... na samej sobie. Jej różowo-fioletowa magia błyszczała teraz intensywniej niż wcześniej. Gdy wsunęła smoczek głębiej do pyska, cała jej twarz nabrała łagodności, ale tej niepokojącej — jak miękka poduszka, która śni o duszeniu.

Bitsi wzdrygnęła się.

Nie z bólu. Nie ze strachu.

Z przesylenia.

Bo to nie była zwykła magia chaosu.

To była Camel, która uczyła się nowej mocy tak, jak dziecko uczy się słowa „kocham” — powoli, z niepewnością... ale z tym szczególnym błyskiem w oczach.

Magia smoczka znów zapłonęła — cieplej niż wcześniej, głębiej. Spiralne źrenice Camel wirując powoli, pulsowały rytmem ssania, a z każdym takim ruchem Bitsi traciła coś z siebie.

Nie kontrolę.

Nie świadomość.

Ale odporność.

— Oooch, naprawdę... jesteś jak miód — mruknęła Camel, przekręcając głowę. — Miód i cynamon. Takie małe, ciepłe... coś.

Camel zadrżała.

Ale to nie był dreszcz wahania. To był dreszcz ekscytacji.

Zamknęła oczy. Smoczek był teraz tak głęboko, że niemal dotykał jej gardła — ale to nie bolało. To było jak kanał. Jak most między nią a siostrą.

Bitsi zadrżała.

Tym razem naprawdę. Jej ciało się osunęło. Kolana ugięły się pod nią jak u kucyka, który traci zmysły.

Smoczek pulsował magią — gorącą, wszechobecną, rozlewającą się po świecie jak światło przez zamknięte powieki.

— Oooch, tak... czuję cię... całą — wyszeptała Camel. Głos miała ochryply. Nie jak dziecko, ale jak ktoś, kto zaczyna tracić granice.

Magia chaosu zawirowwała wokół niej. Spiralne źrenice pulsowały. Kopytko powędrowało mimowolnie do serca — gdzie płonęło to nasionko, które wcześniej odrzuciła.

Bitsi padła na bok.

Jej oczy były otwarte... ale nieobecne.

Screwball poruszyła się. Najpierw jeden krok.

Potem drugi.

I nagle...

Zamarła.

Bo to, co widziała, знаła.

Znała aż za dobrze.

Gdy sama ssąc smoczek, usłyszała kiedyś głos ojca:

— Patrz, Screwy! Możesz poczuć jej serduszko!

I wtedy... wszystko wróciło. Obrazki, wspomnienia, zapach chaosu. I ból. Ból Bitsi, który znała. Który zignorowała. A teraz... to samo robiła Camel.

Ale nie zła.

Nie okrutna.

Zatracona.

Diskord zaśmiał się cicho. Jego ogon uniósł się lekko, a łapa zaciśnięta była na szklanej kulce. W środku, jak w miniaturze, wirowały obrazy:

Bitsi. Camel. Screwball. Trzy córki — trzy klucze.

— No, no, no — mruknął rozbawiony. — A mówiłaś, że nigdy nie powtórzysz moich błędów, córeczko...

Screwball spojrzała na niego. Zmieniona. Nie zła. Zraniona.

— Ona nie wie, co robi — wyszeptała.

— Tak? A ty wiedziałaś?

I wtedy Camel się odezwała. Smoczek nadal w pysku. Głos przytłumiony.

— Siostrzyczko... czemu płaczesz? Przecież miało być miło...

Smoczek zaiskrzył. Bitsi jęknęła.

I to był moment.

Ten jeden moment, w którym Screwball poczuła, że nie ma wyjścia.

Że musi stanąć między nimi.

Nie między światłem i mrokiem.

Między... tym, co znała. A tym, co stworzyła.

Rozdział VI: Taniec, który pamięta

— Camel — powiedziała Screwball cicho.

Stała w miejscu. Jej kopyta dotykały ziemi z delikatnością, której nauczyła się od matki. Ale serce... biło w niej mocniej niż kiedykolwiek. Każdy dźwięk pulsującego smoczka rozsadał jej czaszkę jak echo, którego nie umiała już uciszyć.

Camel uniosła wzrok. Jej źrenice nadal wirowały powoli, różowo-fioletowe spirale odbijały się w kałuży u stóp Bitsi.

— Hmm? — mruknęła, nie wyciągając smoczka z pyszczka. — To tylko... zabawa...

Screwball zrobiła krok. Potem drugi.

— Ona nie czuje, że to zabawa. Widzisz to w jej oczach?

Bitsi drżała. Nie jak przestraszona ofiara. Raczej jak ktoś, kto słyszy śpiew w języku, którego nie rozumie, ale nie potrafi przestać go słuchać.

Camel spojrzała z powrotem na Bitsi.

— Ale... przecież się uśmiechała... — szepnęła. — Na początku...

— Tak samo ja się uśmiechałam — przerwała jej Screwball. — Kiedy mój tata dał mi pierwszy smoczek. Kiedy po raz pierwszy poczułam drugą osobę... całą... aż do samego serduszka.

Camel zadrżała lekko. Smoczek poruszył się w jej pysku — niepewnie.

Screwball zrobiła jeszcze jeden krok. I zatrzymała się.

— To nie jest dzielenie się. To odbieranie.

Camel zmarszczyła brwi. Cofnęła się o pół kroku.

— Ale przecież ty...

— Tak. Ja to zrobiłam. I dlatego właśnie proszę cię teraz... odejdź od niej, Camel.

Na chwilę zapanowała cisza. Tylko strumyk pluskał, jakby nie rozumiał powagi sytuacji.

Camel westchnęła. Powoli wyjęła smoczek z pyska, a jego końcówka błyszczała lekko od jej magii.

— Ona jest taka mięciutka — szepnęła. — Taka jak ja... jakbyśmy razem pływały w czekoladzie...

— Camel — powiedziała Screwball łagodnie, ale stanowczo. — Jeśli ją kochasz... pozwól jej wrócić.

Camel spojrzała na siostrę. Potem na smoczek.

A potem... ścisnęła go w kopytku.

I znów go włożyła.

Bitsi zadrżała gwałtownie.

Screwball zamknęła oczy na sekundę. Wzięła głęboki oddech.

Po czym wyszeptała:

— W takim razie... będę musiała cię zatrzymać.

Za plecami rozległ się szelest — to Discord odwrócił się teatralnie na chmurce z popcornem i zaśpiewał:

— Cóż za piękna rodzinna tragedia! Prawie jak w operze chaosu...

Ale Screwball nie patrzyła już na niego.

Patrzyła tylko na Camel.

I szła dalej — nie po to, by zaatakować. Ale po to, by być pierwszą, która przytuli... zanim zrobi to smoczek.

Camel nie cofnęła się, gdy Screwball zrobiła kolejny krok. Ale jej oczy... jej oczy nie były już takie same.

Spirale nie tańczyły. One pulsowały.

Jak echo serca, które przestało rozróżniać siebie od drugiego ciała.

Bitsi leżała obok, osłabiona, jakby zanurzona we śnie. Jej róg migotał, ale bez ładu — jakby szukał światła.

— Nie rozumiesz... — mruknęła Camel, przechylając lekko głowę, z ustnikiem smoczka wciąż między wargami. — Ona mnie rozumie... ona to czuje... nie mówi nie...

Screwball nie odpowiedziała. Zamiast tego, wyciągnęła powoli kopytko w stronę Camel.

— Camel... wróć.

Ale wtedy zadrżała ziemia.

Nie jak przy trzęsieniu. Jak przy odkształceniu.

Wokół nich — niebo zgasło. Nie od ciemności. Od koloru. Wszystko stało się pastelowe, jakby ktoś wyssał głębię z barw. A potem pojawiły się schody.

W górę. W dół. W bok. Wiszące w powietrzu, skręcone, niemożliwe.

— O nie... — szepnęła Screwball.

To nie Camel celowo.

To nasionko — odpowiedziało na strach.

— Zabawmy się... — szepnęła Camel, a wokół niej zawirowały kształty: lewitujące książki, zegary cofające się, kucyki-plakaty, które spadały z nieba jak deszcz.

— Camel, zatrzymaj to. — Głos Screwball zadrzał.

— Ale przecież... ty się tak bawiłaś, prawda? — Camel spojrzała na nią spod grzywki. — Jak byłaś sama. Kiedy nie miałaś nikogo. Tylko chaos... i siebie.

Zza filaru wyskoczył Discord, tym razem w czapce błazna, siedząc na obrotowym rowerku z rogami zamiast kół.

— O tak! Teraz zaczyna się prawdziwa impreza! — zakrzyknął. — Która z córek chaosu zasiądzie na tronie absurdu?

Screwball się nie ruszyła. Ale jej oczy zmieniły się. Już nie były miękkie. Były jak stalowe wrzeciona.

— Camel — wyszeptała — jeśli nie przestaniesz... wejdę do środka.

Camel się roześmiała. Cicho. Smutno.

— Ale przecież już tam jesteś, siostrzyczko. Przez smoczek...

I wtedy — jeden błysk.

Wszystko zgasło.

A potem...

Rozbłysła pierwsza komnata labiryntu.

Bitsi leżała na środku, jak śpiący kucyk w łóżeczku. Spiralne ściany poruszały się, szukając wejścia.

Camel i Screwball — naprzeciwko siebie.

Tylko jedno z nich mogło teraz zbliżyć się do niej.

Ale które zrobi to w miłości... a które — przez magię?

Schody zawisły w pustce, skręcone jak galaretki. Niebo rozszczeptało się na barwy z palety emocji: od złośliwego różu, przez nerwowy fiolet, aż po przejmującą biel... ciszy.

Screwball stanęła stabilnie.

Jej źrenice zwęziły się w wirujące spirale. Grzywka lekko unosiła się od nagromadzenia energii. Magia chaosu była jak zapach starego domu — znała ją, kochała, nienawidziła.

Camel zawisała w powietrzu. Uśmiechnięta. Smoczek wciąż tkwił w pysku, a wokół niej wirowały tańczące zabawki: gumowe kucyki, pluszowe duchy, kolorowe sprężynki. Wszystko było dziecinne... i niepokojące.

— Camel... — głos Screwball był spokojny. — Proszę.

— Prosiłaś mnie, żebym się nie bała — odparła Camel, przechylając głowę. — Teraz się nie boję.

Machnęła kopytkiem.

Niebo spadło.

Dosłownie.

Setki luster zleciały z góry jak deszcz — każde odbijając inne wersje ich samych: uśmiechnięte, zapłakane, puste. Screwball w jednej chwili zwinęła przestrzeń jak origami. Lustra skręciły się w kulę i wystrzeliły w bok, zmieniając się w balony.

— Dziecinne — mruknęła.

— Ale skuteczne — odparła Camel, i rozpruła balony spojrzeniem. Wybuchły w tysiące miniaturowych screwballów, które zaczęły wyśmiewać siostrę jak chór przedszkolny.

— Patrzcie, kto wrócił! Wielka siostra-matka! — śpiewały fałszywie. — Klaczka, co tuli, a potem więzi!

Screwball warknęła.

— Dość.

Tupnęła. Cała przestrzeń zawibrowała, a z ziemi wyrosły linie kodu — jakby świat był grą, której to ona jest projektantką. Linie pobiegły ku Camel, chcąc zamknąć ją w pętli.

Camel... przecięła je nożyczkami.

— Tatusiu mnie tego nauczył — mruknęła.

I wtedy... ruszyły na siebie.

Nie jak wojowniczeki.

Jak siostry.

Jak dwie istoty, które znały się zbyt dobrze, by się mylić.

Magia chaosu iskrzyła.

Camel przyzywała wir mlecznych lodów — atakował smakami: wspomnieniami i błogością. Screwball odpowiedziała salwą pluszowych nietoperzy, które rozrywały przyjemność jak zgrzytanie zębów.

Camel unosiła się, błyszcząc ogniem, którego nie znała jeszcze miesiąc temu.

Screwball... stała na ziemi.

Bo znała ją lepiej.

I wiedziała, co się stanie, jeśli **któraś przegra**.

W powietrzu unosiła się jedna myśl — cicha, ale wyryta w sercu każdej z nich:

„Nie jesteś moim wrogiem... ale muszę cię zatrzymać.”

Bitsi drżała.

Leżała na boku, jej oczy były otwarte, ale nie widziały. Ciało wilo się w spazmach tak subtelnych, że można by je wziąć za dziecięce łaskotki... gdyby nie cichy, urywany jęk, który co chwilę wydobywał się z jej gardła.

— Aaa... a-a-aaah...

Każdy dźwięk był echem ssania. Każdy spazm — cieniem uśmiechu Camel.

Bo Camel... się zbliżała.

Nie galopem. Nie lotem.

Płynęła przez powietrze jak sen, zawieszony między przyjemnością a zatraceniem. Spiralne źrenice lśniły jak wiry z cukru. Magia chaosu nie wybuchała — tętniła w niej jak oddech.

— Czuję ją — szepnęła, nawet nie do Screwball. — Nie muszę jej dotykać. Ona drży... jakbyśmy były połączone smoczkiem. Jakby cały świat był smoczkiem.

Zatrzymała się tuż przy Bitsi.

Pochyliła się. Smoczek nadal błyszczał różowo-fioletowym światłem. Ale już nie był zabawką.

Był... **słomką**.

A Bitsi... była źródłem.

Screwball wiedziała, co się dzieje. Czuła to po drzeniu powietrza. Po tym, jak ciepło wokół Bitsi zaczęło zanikać, ustępując chłodnemu, gęstemu światłu chaosu. Światło nie było złe. Było **słodkie. Zmysłowe. Miłe**.

I to właśnie było najgorsze.

— Mmm... — mruknęła Camel. — To... wystarczy, że ją czuję. Całą. I ona mnie też...

Bitsi wygięła się. Z nosa spłynęła jej pojedyncza łza. Nie z bólu. Z przesycenia. Jej ciało nie wiedziało, czy się bronić, czy oddać.

— Słyszysz? — Camel odwróciła się do Screwball, z uśmiechem niemal rozmarzonym. — Tak się czuję, gdy magia płynie. Tak się czułaś, prawda?

Screwball zrobiła krok naprzód.

— Camel... to nie jest gra.

— A czemu nie? — odparła Camel słodko. — Skoro nawet Bitsi... się bawi.

Bitsi zapiszczała cicho — wysoki, niekontrolowany dźwięk, jak u niemowlęcia zaskoczonego przez senne wrażenie.

A potem...

Camel zamknęła oczy.

I zaczęła... **tańczyć**.

Nie jak baletnica.

Jak dziecko, które zna tylko rytm swojego serca.

Każdy krok był impulsem.

Każde tupnięcie — falą, która przepływała przez Bitsi.

Każdy obrót — jak pociągnięcie za niewidzialną nitkę, która łączyła je przez smoczek, przez serce, przez sen.

Magia chaosu zadrgała.

— Camel! — krzyknęła Screwball. — To ją złamie!

Camel zatrzymała się powoli.

— A może... zmieni?

Odchyliła głowę.

Bitsi zawyla.

Cicho, przeraźliwie, jakby całe jej ciało zostało zamienione w jeden długi nerw.

Screwball poczuła, jak serce jej staje.

Bo wiedziała, co się dzieje.

Zanim Discord przemieniał dziewczynki w córki chaosu...

Zawsze tańczyły.

Rozdział VII: Smak Chaosu

Camel tańczyła.

Nie jak klaczka.

Jak cień słodczy. Jak spiralna melodia, która zapomniała, czym była cisza.

A Bitsi...

...już się nie ruszała.

Jej ciało leżało bezwładnie, usta rozchylone, policzki wilgotne od łez, oczy rozbłysłe światłem, które nie należało do niej. Tylko smoczek, który tkwił w pyszczku Camel, łączył je w jedną, ciągłą linię magii.

Bitsi jęknęła raz jeszcze.

Ale w tym jęku nie było już tylko bezradności.

Była... **iskra**.

Camel zbliżyła się jeszcze bardziej, już niemal muskając siostrę nozdrzami. Cała drżała z przyjemności.

— Ooooch... więcej... więcej...

I wtedy **to się stało**.

Jakby **ktoś obrócił tunel**.

Nie fizycznie.

Energetycznie.

Między nią a Bitsi przestał płynąć strumień łaskotek, drzeń i błogości. Zamiast tego... **pojawił się obraz.**

Uczucie.

Z dzieciństwa. Ciepłe ręce mamy, chłodne podwórko, głos siostry, echo śmiechu, którego Camel **nie znała...** ale **nagle czuła.**

— Mmmgh... co...? — mruknęła, marszcząc pyszczek.

Wtedy przyszedł kolejny impuls.

Lęk.

Lęk Bitsi. Nie chaos, nie dezorientacja — **czyste przerażenie.** To nie było przyjemne. To było jak zimny kompres wlany do duszy.

Camel zachłysnęła się.

— Agh! T-tato?!

Jej pyszczek drgnął. Magia chaosu zgasła na moment. Spiralne źrenice zwolniły.

— Tato?! Co się... co się dzieje?! — wrzasnęła.

Zadrżała jak porażona prądem. Smoczek wypadł jej z pyska z mokrym mlasknięciem.

Cisza.

Bitsi leżała nieruchomo. Ale jej serce biło mocniej. I... **w drugą stronę.**

— Nie wiesz? — zapytał Discord łagodnie, z teatralnym współczuciem. — Och, córeczko... nie można jeść zbyt szybko. Bo się zakrztusisz.

Camel zadrżała jeszcze raz.

Bitsi, oszołomiona, podniosła głowę. Jej oczy były zmęczone, czerwone, ale żywe. Świadome. Z trudem, ale mówiła.

— Nie jestem... smakiem... Camel...

Camel cofnęła się krok.

Jeszcze jeden.

A potem spojrzała na swoją siostrę — jakby widziała ją **po raz pierwszy.**

Bitsi drżała. Ale teraz to nie był **jej** lęk.

To **Camel** poczuła niepokój.

— Ja... ja tylko chciałam...

— Chciałaś... być jak ja? — zapytał Discord, uśmiechając się krzywo. — No cóż... to jeszcze długa droga, kochanie. Ale muszę przyznać... było bardzo smacznie.

Camel jęknęła cicho, jakby coś naprawdę ją zabolalo. Spojrzała na kopytko, które przed chwilą trzymało smoczek. Jakby był czymś obcym.

Jakby... się **poparzyła**.

Screwball zrobiła krok w jej stronę.

Ale nie powiedziała jeszcze nic.

Jeszcze nie.

— Nie... tato! To niemożliwe! — krzyknęła Camel, wciąż chwiejąc się na nogach. Jej serce waliło jak szalone, a powietrze zdawało się drżeć.

Magia chaosu, która jeszcze przed chwilą płynęła przez nią jak miód — teraz przypominała syrop, który ugrzązł jej w gardle.

Bitsi nadal leżała, oszołomiona, z lekkim jękiem, ale żywa. Ciepła. Prawdziwa.

A Camel...

...nagle poczuła się brudna. Nie fizycznie. Wewnątrz.

— Pomóż mi! — zawołała do ojca, zdesperowana. — Przecież sam chciałeś... chciałeś złamać Bitsi! Prosiłeś o to siostrzyczkę...!

Discord zamrugął, jakby się zdziwił, że w ogóle padły te słowa.

A potem... uśmiechnął się.

Smętnie.

— I ona mnie zawiodła... zupełnie jak ty, Camel — szepnął miękko, a jego głos wdarł się prosto w serce klaczki.

Camel zamarła. Cofnęła się o krok, jej uszy opadły. Serce pękało, choć jeszcze nie rozumiała, dlaczego tak boli.

— Ale tobie... można wybaczyć — dodał Discord łagodnie. — Zachłysnęłaś się mocą, której nie znałaś. Chaos daje zabawę, kiedy się go opanuje... a to nie takie łatwe.

Unióś wzrok, teraz już nie do niej.

Na Screwball.

— Co do mojej drogiej Screwy... — westchnął teatralnie. — To już większy zawód. Ona znała reguły gry. Jest w tym prawie tak dobra jak ja... a w kilku aspektach — nawet lepsza.

Screwball drgnęła. Ale nie powiedziała nic.

Jeszcze nie.

— A ty? — Discord znów spojrzał na Camel. — Jesteś gotowa się pozbierać?

Wyciągnął łapę w jej stronę.

— Pokaż siostrze, co naprawdę potrafisz. Zaimponuj mi.

Jego głos zadrżał od ekscytacji. W jego szponie zapłonęła iskra — magia, która nie tylko leczyła... ale wzmacniała.

Camel podniosła wzrok. Jej źrenice nadal miały kształt spiral, ale teraz w nich... pojawił się głód.

Cichy błysk.

Nie był zły. Ale był... niespokojny.

— Mam... jeszcze jedną szansę? — zapytała cicho.

— Zawsze masz szansę, córeczko. Tylko nie każ mi żałować, że ci ją dałem. — Discord uśmiechnął się chłodno.

Magia popłynęła z jego łapy do jej ciała.

Camel zadrżała. Jej grzywa zafalowała jak w wodzie, nogi ugięły się pod nagłym napływem siły... i emocji. Smoczek, który wcześniej wypadł jej z pyska, teraz lewitował przed nią.

Ale nie sięgnęła po niego od razu.

Spojrzała na Bitsi.

Na Screwball.

A potem...

...zamknęła oczy.

I zasyczała przez zęby:

— Nie zawiodę...

Róg Camel błysnął. Magia chaosu zatańczyła.

Screwball zrobiła krok do przodu.

— Camel, nie... — zaczęła.

Ale Camel już lewitowała.

Unosiła się nad ziemią jak cień — lekka, oświetlona fioletowym blaskiem, który wibrował w powietrzu niczym echo śmiechu.

I to nie był śmiech radości.

To był...

smak wyzwania.

Bitsi leżała bez ruchu.

Magia chaosu wciąż w niej pulsowała, ale już nie paliła. Teraz była jak echo — dźwięk, który właśnie przebrzmiał, ale zostawił w sercu wgniecenie.

Oddychała płytko, nerwowo. Jej ciało drżało, a z oczu spływały łzy, których nie potrafiła zatrzymać.

Nie dlatego, że bolało.

Ale dlatego, że czuła Camel.

Camel całą.

Tak, jak tamta chciała. Tak, jak robiła to Screwball... wtedy.

I właśnie to bolało najbardziej.

— Dlaczego...? — wyszeptała Bitsi. Głos drżał jak źdźbło trawy na wietrze. — Camel... przecież jesteś dobra. Prawda...?

Nikt jej nie odpowiedział.

Ale serce milczało tylko przez chwilę.

Potem znów zaczęło mówić. Głośno.

I każda emocja, jaką czuła dziewczynka — miłość, zranienie, bliskość, rozczarowanie, ciepło i strach — zaczęły wracać przez więź do źródła, do Camel.

Bitsi zamknęła oczy i wtuliła się w trawę. Nie walczyła już z doznaniem — pozwalała im płynąć. Ale w środku... wysłała jedno słowo.

„Wróć.”

Screwball patrzyła, jak Camel unosi się nad ziemią.

To nie była zabawa.

To nie był żart.

To była magia chaosu — czysta, nienazwana, dzika — i pulsowała w Camel jak nigdy wcześniej.

I Screwball... widziała siebie.

Wtedy.

Kiedy pierwszy raz naprawdę poczuła, jak łatwo jest „zajrzeć” do kogoś przez smoczek. Jak łatwo złamać. Jak przyjemnie smakują lzy.

Jej własne lzy napłynęły do oczu.

— Camel... — powiedziała cicho. — Nie musisz tego robić. On... on tylko cię testuje. Tak jak mnie testował. On nie chce twojej mocy. On chce, żebyś... przestała być sobą.

Camel spojrzała na nią z góry. W oczach wciąż kręciły się spirale. Ale w kącikach... coś zadrżało. Jakby słowa dotarły.

— Pamiętasz? — szepnęła Screwball. — „Już nie musisz tańczyć sama...” Powiedziałam ci to, bo wierzyłam, że razem...

Zamilkła.

Bitsi uniosła się lekko, drżąc, ale silniejsza niż przed chwilą. Jej róg zapłonął — nie magią, lecz światłem pamięci. Oddech się uspokoił.

— Camel... to my jesteśmy twoją rodziną. Nie on.

Camel zadrżała. I ten drgający moment był jak zawahanie dziecka nad krawędzią trampoliny — jeszcze jeden impuls i skoczy... albo zawróci.

Screwball zrobiła krok naprzód.

— Jeśli muszę cię zatrzymać... to nie po to, by cię skrzywdzić.

Drugi krok.

— Tylko po to, by cię nie stracić.

Camel zacisnęła zęby. Spiralne oczy drżały.

— Nie puszczę cię... — szepnęły obie siostry jednocześnie.

Discord patrzył z boku. Uśmiechał się.

Ale nie było w tym śmiechu.

Było czekanie.

Na wybór.

Rozdział VIII: Ojciec mówi

Discord zaklaskał.

Raz. Drugi. Trzeci.

Każde klaśnięcie odbijało się echem w powietrzu, jakby sam świat przystanął, by posłuchać jego ironicznej uwagi.

— Achhh... no proszę... — westchnął teatralnie, przeciągając głos, jakby właśnie kończył spektakl w teatrze. — Jakież to wzruszające. „Nie puszczę cię”... „Wróć”... „Rodzina”...

Zrobił krok do przodu, obracając się wokół własnej osi, aż jego ogon sam zakręcił się w pętelkę.

— Córkі moje kochane. Tyle serca, tyle łez, tyle... przewidywalności.

Zatrzymał się tuż między nimi, z rękami skrzyżowanymi za plecami i kpiącym uśmiechem.

— A przecież ostrzegałem. Mówiłem ci, Screwy, że empatia to najsłabsza forma magii. Miłość? Pamięć? Pfff! Tego nie da się ułożyć w układankę. To tylko... klej, którym skleja się pęknięte serca, zanim znów się rozpadną.

Zbliżył się do Camel. Jego szpony błysnęły, gdy uniósł brodę dziewczynki, patrząc jej prosto w spiralne oczy.

— A ty, moja najmłodsza. Ach, jakież miałas możliwości. Tak szybko się uczysz. Tak słodko się zatracasz. Myślałem, że może... może choć ty będziesz tą, która zrozumie, co znaczy być ponad.

Zamilkł.

Potem pochylił się i wyszeptał do jej ucha:

— Ale skoro pozwalasz, by głos serduszka kruszył ci umysł... to znaczy, że jesteś jak one. Złamana przez uczucia. I to... boli mnie najbardziej.

Camel zadrżała.

Magia chaosu znów zawirowała wokół niej, ale nie tak radośnie jak przedtem. Teraz była cięższa. Jakby zawstydzona. Jakby... rozczarowana sobą.

— Nie muszę was niszczyć, dziewczynki. — Discord wyprostował się, odchodząc. — Wystarczy, że każę wam wybierać. A wy, jak zwykle... rozpadacie się przy pierwszym pytaniu.

Zatrzymał się. Zerknął jeszcze raz przez ramię. Tym razem spojrzał na Screwball.

— To co, Screwy? Pobawisz się z siostrzyczką? — Uśmiech zbladł. — Czy znów uciekniesz, jak wtedy?

Odszedł w cień. Ale jego głos pozostał:

„Kiedy córki chaosu się wahają... świat staje się nudny.”

— Ja... nie zawiodę cię, tato. — głos Camel brzmiał pewniej, ale gdzieś pod nim drgała nuta strachu. — Tylko... wygląda na to, że mam przeciw sobie dwie siostry...

Przełknęła ślinę. Jej spojrzenie powędrowało raz na Bitsi, raz na Screwball.

— Harmonia... i chaos — wyszeptała, jakby właśnie wypowiadała starożytne zaklęcie.

Jej wzrok zatrzymał się na Screwball.

— Co się stało, gdy zawiodłaś, siostrzyczko? — wskazała kopytkiem. — Tata cię porzucił. I wybrał na nową klaczkę... mnie.

Zamilkła.

I wtedy zapadła cisza — ale nie taka, co koi.

Cisza, która boli.

Screwball wpatrywała się w siostrę bez słowa. Nie dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć. Ale dlatego, że... wiedziała aż za dobrze.

To nie był pierwszy raz, kiedy słyszała te słowa.

„Zawiodłaś.”
„Nie jesteś godna.”
„Za słaba.”
„Za miękka.”
„Za ludzka.”

Ile razy płakała sama, po tym jak jej tata odszedł, rozczarowany? Ile razy próbowała mu zaimponować — sztuczką, iluzją, perfekcyjnym chaosem?

A on... tylko kiwał głową. Albo... znikał.

Screwball wiedziała, że Camel mówi te słowa nie z dumy.

Ale z bólu.

Z desperacji.

Bo to samo czuła ona — wtedy, kiedy próbowała zasłużyć na miłość chaosu.

A teraz... widziała, jak historia się powtarza.

Widziała drżenie Camel, gdy słowa ojca odcisnęły się w niej jak żarzące się piętno.

„Zawiodłaś mnie, jak twoja siostra...”

„Jeśli znów zawiedziesz — zrób z nią co chcesz. Możesz nawet wyssać ją do cna. Nie będzie godna być twoją siostrą.”

Screwball zamarła.

W jej oczach rozbłysła złość — ale nie do Camel.

Do niego.

Do ojca, który raz jeszcze zbudował swoje marionetki i obserwował, jak się łamią.

W ręce Discorda lśnił smoczek.

Ten sam, który należał do Camel. Trzymał go jak obietnicę. Jak przynętę.

Bitsi leżała nieruchomo — drżała jeszcze, ale świadomość powoli wracała.

Screwball postąpiła krok.

Tylko jeden.

Ale to był pierwszy krok między — nie po stronie chaosu. Nie po stronie harmonii.

Po stronie sióstr.

Spojrzała na Camel. Jej głos był cichy.

— Nie jesteś mnie. I nie musisz być. — Zadrżała. — Ale jeśli pójdziesz tą drogą... on cię złamie tak, jak mnie. Tak, jak każdą z nas.

I wtedy spojrzała w górę — wprost na ojca.

— I ty o tym wiesz, tato. — Słowo „tato” rozpadło się na końcu zdania. — Ty sam nigdy nie kochałeś... tylko tworzyłeś...

Discord uniósł brew, zaskoczony.

Tylko na chwilę.

Potem się uśmiechnął. Smutno. A może... z dumą?

— No proszę... Screwy. Jesteś naprawdę bliska odpowiedzi.

I wyciągnął rękę.

W jej wnętrzu płonęła magia. Czysty chaos. Obietnica — albo kara.

Rozdział IX: Próg wyboru

— Ka... każdą z nas? — szepnęła Camel. Jej głos był cienki jak nitka, a oczy rozszerzyły się w zaskoczeniu.

Spojrzała na ojca. Potem na Screwball. Potem... na samą siebie.

Discord nie musiał się powtarzać. Jego wzrok już mówił wszystko.

Uniósł łapę. Płomień chaosu zatańczył w jego szponach — pulsujący, lśniący, obiecujący.

— Możesz mi udowodnić swoją wartość, Camel — odparł spokojnie. — Pokonaj swoją siostrę... albo rozbij ten posąg.

Obok niego pojawił się kamienny monument — wysoki, surowy, pokryty ledwie widocznymi runami. Nie przypominał żadnego z dzieci. To był on sam, Discord — zatrzymany w czasie, jakby zasądzony do wieczności.

— Zrób to fizycznie. Kopytkami. Tak jak Screwball kiedyś... — dodał cicho.

Rzucił kulą ognia.

Kamień rozbłysł. Pomarańczowa poświata zatańczyła po jego powierzchni, oplatając go jak klątwa. I zgasła.

Camel przełknęła ślinę.

— Rozbić posąg, tato... tak po prostu?

Zamrugła.

Zdezorientowana. Przerażona. Zaciekawiona.

Ale Screwball już wiedziała.

Jej serce zamarło.

Bo ten test знаła aż za dobrze.

W głowie rozbrzmiało wspomnienie — tak silne, że na moment nie widziała nic poza ciemnością.

...stukot kopytek...

...szaleńczo precyzyjny rytm...

...głos ojca, cicho: jeszcze raz, córeczko... jeszcze raz...

...i potem — ból.

Nie zwykły. Nie fizyczny.

Agonia.

Jakby każda cząstka jej samej krzyczała jednocześnie. Jakby rozrywana była między ciałem a duszą, między byciem sobą a byciem... jego.

Potem — cisza.

I ojciec.

Z uśmiechem. Z dumą. Z pochwałą.

Ale do dziś... nie wiedziała, czy to była duma.

Czy... nagroda za to, że przeżyła?

Czy może próba, której nie przeszła — ale i tak się uśmiechnął?

Screwball wstrzymała oddech.

Jeśli Camel to zrobi — jeśli stanie przed tym samym posągiem, tym samym wyborem...

Jeśli znów chaos zagra duszą klaczki...

To historia się powtórzy.

Bitsi leżała wciąż półprzytomna.

Camel zbliżyła się do posągu.

Nie wiedziała, czemu serce biło jej tak szybko. To tylko kamień, prawda? Jej ojciec uśmiechał się łagodnie, wręcz dumnie. Nic nie mówił o bólu. Nic nie mówił o ryzyku.

Ale gdy uniosła kopytko, coś... się zmieniło.

Screwball drgnęła.

To było niemal niezauważalne. Ale Camel — karmiona przecież emocjami Bitsi, zanurzona w magii chaosu — złapała ten impuls. Ten błysk w oczach siostry. Strach. I nie... nie przed tym, co zrobi Camel. Przed tym, co może się stać z nią samą.

— Dlaczego ona patrzy na mnie tak, jakby... coś wiedziała? — pomyślała Camel.

Odruchowo spojrzała na posąg. Poczuła jak w środku coś się spina. Nie ból. Jeszcze nie.

Ale... przeczucie.

Napięcie.

I gdzieś głęboko — głos, którego nie potrafiła rozpoznać. Może własny.

Nie rób tego.

Ale ojciec już patrzył.

Z oczekiwaniem.

Z milczeniem, które było rozsądkiem chaosu.

I dlatego Camel... podniosła kopytko.

Gdy Camel ostrożnie oparła kopytko o posąg, z jego wnętrza — jakby z kamiennego serca — rozległ się głos. Cichy. Leniwy. Ale pełen znanej do bólu modulacji.

— Screwball, mój skarbie... — rozbrzmiał z głębi marmuru. — Byłaś ze mną przez wszystkie lata swojej egzystencji. Nieważne, jaki koszt trzeba było ponieść. Nieważne, jakie cierpienie trzeba było znieść. Takiej pasji... nie da się łatwo zapomnieć.

— Tatus?! — krzyknęła Camel, cofając się pół kroku.

Spojrzała zdezorientowana na Diskorda, który tylko się uśmiechnął i kiwnął głową, jakby przytakując niewidzialnemu wspomnieniu. Potem zerknęła na Screwball. A ta... zamarła. Oczy rozszerzyły się z przerażeniem. Bo pamiętała. Dokładnie ten sam głos. Tamten dzień. Tamten test.

Tymczasem głos kontynuował, słodszy z każdą sylabą:

— Twoje oddanie chaosowi, twoja ciężka praca... oraz fakt, że jesteś w ostatecznym rozrachunku częścią mnie... Wszystko to odgrywa znaczącą rolę w moim planie. Sprawia, że ty sama... jesteś najlepszym sposobem na przywrócenie mi wolności, mój ty idealny, mały potworku.

Camel... uśmiechnęła się. Wydawało się, że jej pyszczek nie mógł już bardziej się rozciągnąć, ale teraz — uśmiechnięta i zarumieniona jak żreback przy pochwałach — słuchała z zachwytem.

— A teraz, moja droga, uwolnij mnie — szepnął głos. — W głębi serca wiesz, co należy zrobić.

Klaczka gorliwie przytaknęła. Zamknęła oczy. Przez dłuższą chwilę trwała w ciszy, jakby wsłuchując się w coś, czego nikt inny nie mógł dosłyszeć. A potem zaczęła stukać.

Kopytko. Kopytko. Pauza. Kopytko-kopytko-kopytko.

Rytm był skomplikowany. Hipnotyczny. Wciągający. Jej całe ciało rozjarzyło się szkarłatnym blaskiem. Na początku — nikłym. Potem coraz silniejszym, aż wszystko wokół zostało zalane krwawą poświatą.

— Tato, ten kamień... parzy! — jęknęła nagle Camel, zaskoczona bólem.

— Jeszcze trochę, mój mały potworku. Wytrzymaj... — zachęcił ją Discord z tym samym głosem, którym kiedyś karmił nadzieję Screwball.

Screwball nie mogła dłużej stać bez ruchu. Każde uderzenie Camel o posąg odbijało się w niej jak echo z przeszłości.

Ona też kiedyś stukała.

Ona też słyszała te słowa.

I potem... przyszła eksplozja bólu.

Tego nie da się opisać. To nie był zwykły ból. To był chaos — w swojej najczystszej postaci, wdzierający się w każdą cząstkę istnienia. Krzyk, jaki wtedy wydała z siebie Screwball, nie przypominał żadnego dźwięku, jaki znały istoty żywe. I pamiętała... że posąg nie zareagował od razu.

Pamiętała... że leżała, drżąc, przekonana, że umiera. Że ojciec ją zostawił. Ale on wtedy był z niej dumny.

Tymczasem Camel — wciąż stukając — zaczęła drzeć. Szkarłatne światło zamieniło się w pulsującą czerń. Chaos nie był już tylko zabawą. Był ogniem.

Camel wciąż stukala.

Kopytko. Kopytko. Kopytko-kopytko. Pauza.

Z każdym uderzeniem jej ciało traciło kolor. Nie zewnątrz — nie fizycznie — ale od środka. Jakby dusza wyciekała przez rytm. Jakby energia emocji... miłości... ciepła... była zamieniana w coś innego. W czysty, obezwładniający chaos.

Szkarłatna poświata teraz była już prawie czarna.

— Tatusiu... boli — wyszeptała Camel.

— To dobrze — odpowiedział Discord. Głos miał słodki jak miód, jak trucizna ukryta w lukrze. — To znaczy, że idziesz we właściwym kierunku.

Screwball nie mogła oddychać. Cofnęła się o krok. Potem jeszcze jeden. Ale nie dlatego, że bała się magii. Bała się... że znów stanie się świadkiem czegoś, czego nie powinna widzieć. Bała się, że znów zawiedzie.

Bitsi leżała z boku, wycieńczona. Jej oczy były półprzytomne, ale gdy szkarłatne światło dotknęło jej kopytek, jej ciało nagle zadrżało. Ręka (kopytko?) wyciągnęła się instynktownie — jakby coś chciała zatrzymać, jakby coś błagało ją o pomoc.

I wtedy... Bitsi jęknęła.

Nie głośno. Cicho. Ale to wystarczyło.

Dźwięk odbił się echem w duszy Camel. Rytm się zachwiał.

— Tato? — spytała Camel, nie przerywając uderzeń. — Ona... ona mnie woła?

— Nie słuchaj jej — odparł Discord z nutą ostrzeżenia. — To iluzja. Echo. Wspomnienie. Chaos nie potrzebuje tych, którzy wątpią.

Camel spojrzała na Bitsi.

— Ale ona naprawdę płacze.

— Bo jest słaba. Ty jesteś silna. Pokaż to.

Kopytko. Kopytko. Kopytko-kopytko.

Świat się zaczął rozpadać. Nie dosłownie. Ale wewnątrz.

Aż wreszcie...

Screwball ruszyła.

Nie krzyczała. Nie rzucała się z furią. Po prostu — stanęła między Camel a posągiem.

— Odejdź — powiedziała Camel. Głos miała ochryply. — Jeszcze tylko chwilka... wtedy ojciec...

— Wiem, co wtedy się stanie — przerwała jej Screwball. — Wiem lepiej niż ty.

Spojrzały sobie w oczy.

Screwball widziała: Camel płonie. Ale to nie był ogień siły. To był ogień desperacji.

Camel widziała: Screwball drży. Ale to nie był strach. To była miłość.

— On cię zostawi, Camel. Nawet jeśli wytrzymasz. Nawet jeśli... rozbijesz ten posąg. On zawsze zostawia — wyszeptała Screwball.

Camel zamarła. Kopytka przestały stukać.

— To... nieprawda.

— Sama w to nie wierzysz.

Cisza.

Diskord spojrzał na nie obie.

— No, no, no... czyżby znowu córunia buntowniczką? — zapytał z uśmiechem, lecz teraz nie było w nim rozbawienia. — Zastanów się dobrze, Screwy. To twoja ostatnia szansa, żeby znów być po mojej stronie.

Screwball odwróciła się. Powoli. I spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie jestem po twojej stronie. Ale też... nie jestem przeciwko tobie.

— Ach, więc klasyczne "miłość wszystko zwycięży", tak? — sarknął Discord.

Screwball zbliżyła się do Camel. Bez słowa. Przyłożyła swoje czoło do jej czoła.

I wtedy Camel zadrżała. Chaos w jej wnętrzu... zawirował. Ale tym razem — w drugą stronę. Jakby rytm się cofał. Jakby każde uderzenie kopytka wracało do niej... ale z uczuciami, których nie chciała czuć.

— Dlaczego...? — wyszeptała Camel. — Dlaczego czuję wszystko?

— Bo cię kocham — odparła Screwball. — I już raz popełniłam ten błąd.

— Nie... chcę zawieść...

— Nie zawiodłaś. Masz wybór.

Camel zapłakała. Cicho. Nie dramatycznie. Jak dziecko, które po raz pierwszy poczuło ciężar własnego serca.

Camel milczała. Stała między siostrami, a ojcem. Jeszcze niedawno to wydawało się triumfem — była faworyzowana, naznaczona, silna. Ale teraz...

Kopytka zadrżały.

Nie ze strachu.

Z zawahania.

I właśnie wtedy — gdy świat wydawał się rozszczepiony między trzema sercami — Camel zrobiła krok. Nie do Screwball. Nie do Bitsi. Ale znów ku posagowi.

— Camel... nie! — zawołała Screwball, łapiąc ją za ramię. — On cię tylko wykorzysta! On nie kocha!

Camel spojrzała na nią. Spokojnie. Nawet... łagodnie.

— Ale może wtedy... uzna mnie za swoją.

— Nie jesteś jego córką! — krzyknęła Bitsi, podnosząc się z trudem. — Ty jesteś... sobą!

Camel uśmiechnęła się blado. I... wróciła do rytmu.

Kopytko. Kopytko. Kopytko-kopytko.

Zakręciła się wokół własnej osi, jak w tańcu, jak w obrzędzie.

— Patrz, tato — wyszeptała. — Patrz, co dla ciebie robię.

Światło wokół posągu znów narosło. Ale tym razem nie było to światło chaosu.

To była harmonia.

Złota. Czysta. Przenikliwa.

A zakłęcie, które kiedyś matka Screwball — Fluttershy — rzuciła, zadrżało. Pulsowało. Broniło się.

Camel uderzyła kopytkiem raz jeszcze. Czoło miała mokre. Oczy zamglone. Dyszała.

— Uznałeś ją... — syknęła do posągu. — A mnie? Ja też mogę!

I wtedy...

Eksplozja.

Nie światła.

Eksplozja bólu.

Zakłęcie harmonii odrzuciło Camel.

Nie z nienawiści.

Z prawdy.

Jej ciało poleciało w tył, rzucone falą mocy tak czystej, że aż niemożliwej do zniesienia przez istotę przesiąkniętą chaosem. Przewróciła się, zwinęła w kłębek. Drżała. Oddychała urywanym szeptem. Kopytko, które próbowało złamać pieczęć, teraz było całe czarne — wypalone od wewnątrz.

— Aaaaaaah... — jęknęła. — Tatusiu...?

Diskord nie poruszył się.

Stał w milczeniu.

Jakby analizował.

Jakby mierzył, ważył, oceniał.

— Nie... — wyszeptała Camel. — Nie możesz... mnie tak... zostawić...

Screwball ruszyła. Ale tym razem nie zatrzymała jej żadna fala chaosu. Zbliżyła się do Camel i uklękła obok.

— Ja cię nie zostawię — powiedziała cicho. — On nie musi cię uznać. Ty nie musisz się przypodobać. Wystarczy... że jesteś.

Camel spojrzała na nią z niedowierzaniem. Jej twarz była mokra, ale nie wiadomo, czy od łez, czy potu, czy popiołu po odrzuconej magii.

Diskord zmrużył oczy.

— No, no... — mruknął. — Czyli Fluttershy zrobiła lepszą pieczęć, niż sądziłem...

Wtedy spojrzał na Screwball. Jego spojrzenie nie było już szydercze.

Było... lodowate.

— Ale ty, moja córko... ty wiedziałaś, że ona nie jest gotowa. A mimo to pozwoliłaś jej próbować.

Screwball uniosła głowę.

— Bo chciałam, żeby sama to poczuła. Żeby przestała tańczyć w twoim rytmie.

Diskord nic nie powiedział.

Jeszcze nie.

Ale gdzieś... głęboko w jego oczach... tliła się złość. Nie chaos. Złość.

Camel zwinęła się w sobie. Ból nie był tylko fizyczny. Był gorszy — wstydlivy, gorzki, sięgający duszy. Gdy spojrzała w stronę Diskorda, nie dostrzegła ani dumy, ani troski. Tylko... wyczekiwanie. Ocenę.

— Dlaczego...? — wyszeptała. — Przecież mówiłeś, że... że jak się postaram...

Nagle coś się zmieniło.

Powietrze zadrżało.

Światło zrobiło się jaśniejsze — ale nie przez magię. Przez obecność.

Za figury posągu, z cienia, wyszła klacz.

Miękkie, jasnoróżowe kopytka. Delikatna, jakby z samego światła. Jej skrzydła były półprzezroczyste, a oczy... oczy miały w sobie spokój, którego nie złamała nawet wieczność.

Fluttershy.

Diskord zamarł.

Screwball zamarła.

Bitsi spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

Camel nie знаła jej. Ale poczuła... zapach miodu. I coś jeszcze. Coś, co przypominało czułość mamy, którą się tylko śniło.

Fluttershy uklękła obok Camel. Nic nie mówiła.

Po prostu objęła ją skrzydłami.

Nie pytała, nie osądzała, nie wyjaśniała.

— To... boli... — zaszlochała Camel.

Fluttershy nie zareagowała słowami. Ale Camel nagle poczuła, że ogień przestaje parzyć. Że wypalone kopytko... chłodzi się. Że jej oddech wraca do rytmu.

I wtedy, po dłuższej chwili, Fluttershy wyszeptała:

— Nie musisz cierpieć, żeby zasłużyć. Nie musisz udowadniać, że jesteś kochana.

Camel wpatrywała się w nią. Drżała. Ale czuła, jak ból ustępuje. Nie przez zakłęcie. Nie przez moc. Przez czyjąś obecność.

Diskord patrzył. Milczący. Wściekły?

Nie.

Rozbity.

Wiedział.

Wiedział, co zrobił. Wiedział, że ta próba nie była sprawdzianem mocy Camel — tylko jego własnym upadkiem jako ojca. I wiedział coś jeszcze:

Że Fluttershy zawsze była silniejsza od niego.

Camel wtuliła się w skrzydła Fluttershy, jakby od zawsze należały do niej.

Jakby знаła ten zapach, ten szept, to bicie serca.

I może... znała.

Nie jako wspomnienie.

Ale jako tęsknotę.

Przez chwilę świat się zatrzymał. Diskord nie drgnął. Bitsi płakała cicho, lecz nie z bólu — ze zrozumienia. A Screwball po raz pierwszy od dawna nie czuła ani chaosu, ani harmonii. Czuła... równowagę.

Camel otworzyła oczy.

Spokojniejsze.

Trochę bardziej swoje.

I wtedy Fluttershy spojrzała na Diskorda. Łagodnie. Ale nie ulegle.

— Ona nie musi być tobą. Ani mną. Ani żadnym planem. — Jej głos był delikatny jak piórko — i mocniejszy niż najcięższy kamień.

Diskord milczał.

W jego oczach coś się poruszyło.

Jakby coś bardzo starego — coś, co nigdy nie umiało się rozwinąć — zaczęło się kurczyć. Albo łamać.

Camel spojrzała na niego.

Już bez błagania.

Bez potrzeby uznania.

— Wybacz mi, tato... ale to nie była miłość. To był test.

Screwball drgnęła. Bitsi uniosła głowę.

A Fluttershy tylko mocniej otuliła skrzydłami klaczkę chaosu, która nie była już tylko tym. Była... sobą.

Tylko sobą.

I to wystarczyło.

Część II - „Dziedzictwo i Decyzja”

Rozdział X: Nowa Runda

Camel leżała bezwładnie w trawie. Jej ciało wciąż dygotało, choć płomień magii dawno zgasł. Dokoła zalegała cisza — nie ta zwyczajna, spokojna, lecz ta napięta jak skóra bębna przed ostatnim uderzeniem.

Z rozbitej czaszki posągu nie unosił się żaden dym. Kamień był nietknięty. Zakłęcie harmonii obroniło się.

A ona? Camel westchnęła głucho, próbując poruszyć kopytkiem, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa. W jej sercu coś pękło, choć nie było to nic fizycznego. To nie był tylko ból — to była świadomość, że zawiodła. Nie była dość silna. Nie była...

Nie była jego córką.

— Ciiiiii... — szept przyszedł nagle, jak ciepły wiatr. — Już dobrze, kochanie.

Ktoś usiadł obok niej. Delikatnie. Ostrożnie. Bez rozgłosu. Pachniało miodem i ziołami.

Fluttershy.

Stara klaczka nie mówiła wiele. Po prostu objęła Camel miękkim skrzydłem, przyciągając do boku. Jej pierś unosiła się spokojnie, rytmicznie. Serce biło powoli. Pewnie. Tak inaczej niż wszystko, czego Camel doświadczyła z Discordem.

— On wiedział — powiedziała w końcu Fluttershy cicho. — Po pierwszym razie już wiedział, dlaczego Screwball dała radę. A ty... ty nie mogłaś. Bo robiłaś to dla niego, nie z niego.

Camel wtuliła pyszczek w miękką grzywę klaczy i zaszlochała krótko, chociaż nie płakała. Po prostu nie miała już siły walczyć ani udawać.

— Ale jesteś... — zaczęła.

— Jesteś sobą, Camel. I to wystarczy. — Fluttershy uśmiechnęła się, całując ją lekko w czoło.

Gdzieś dalej, w cieniu rozczarowania, stał Discord. Jego ogon zadrgał. Przez moment wydawało się, że się odezwie... ale tylko westchnął.

— No dobrze — szepnął do siebie. — Czas na nową rundę.

#SCENA_409

Fluttershy przez długą chwilę patrzyła na obraz, który rozmywał się w powietrzu niczym senny dym. Serce miała ciężkie jak kamień, choć знаła już ten moment — przeżyła go nie raz we wspomnieniach. A jednak coś w sposobie, w jaki Discord go przywołał, uderzyło ją boleśnie.

— Więc to była twoja "gra"? — zapytała, chłodno, z cieniem rozczarowania. — Wiedziałeś, że Camel nie da rady. Że zakłęcie, które stworzyłam... nie pęknie od czystego zapachu. A mimo to... pozwoliłeś jej spróbować?

Discord wzruszył ramionami, nonszalancko, jakby chodziło o błahostkę, choć cień błysku przemknął po jego oku.

— Oczywiście, że wiedziałem. Po pierwszym razie trudno tego nie zrozumieć — odparł lekko. — Ty nigdy nie rzucałaś zaklęć przypadkiem, moja droga. A to, które utkwilo w tym posagu... było pełne miłości. Prawdziwej. Głębokiej. Bezwarunkowej. To dlatego Screwball dała radę. Bo chciała mnie odzyskać. Bo była... moją córką.

Spojrzał na Camel, która siedziała teraz bardzo cicho, wtulona w skrzydło Fluttershy. Jej spojrzenie było zamglone od bólu — nie fizycznego, ale emocjonalnego, tkwiącego w samym jądrze chaosu.

— Camel... — powiedział powoli — Camel chciała być moją córką, ale nie była. Nie do końca. I wiedziała to. — Westchnął teatralnie. — Ale wiesz co? To właśnie dlatego chciałem jej dać szansę. Bo może... gdyby się udało, naprawdę by nią została. A jeśli nie? Cóż. Wtedy przynajmniej wiedzielibyśmy oboje.

Fluttershy uniosła brwi.

— Ty nazywasz to szansą? Wystawiłeś ją na ból, który niemal zniszczył Screwball. Nie ostrzegłeś jej. I teraz? Siedzisz tu i mówisz, że to był test?

— Test, gra, nauczka — Discord wyliczał, kręcąc szponem kółka w powietrzu. — Nazywaj to jak chcesz. Ale wiesz, że chaos nie nagradza ślepego oddania. On nagradza pragnienie... i decyzję. Camel wybrała. Chciała tego. Tak jak jej siostra kiedyś. Nikt jej nie zmuszał.

— A może po prostu chciała poczuć się... kochana? — odparła Fluttershy cicho.

Discord nie odpowiedział. Tylko spojrzał — najpierw na nią, potem na Camel. A potem jego spojrzenie zawisło na Screwball.

— A ty? — zapytał, po raz pierwszy bez ironii. — Co widzisz w niej?

Screwball nie odpowiedziała od razu. Przez moment wydawała się rozdarta. Jej spojrzenie przesunęło się po Camel — po ciele klaczki chaosu, drżącej jeszcze od bólu, ale nie zniszczonej. W oczach Screwball nie było już pogardy. Ani zazdrości. Ani nawet ulgi.

Była w nich... empatia.

— Widzę siebie — odpowiedziała cicho. — Tą, którą byłem. Tą, która zbyt wiele razy zrobiła wszystko, by ci zaimponować.

Spojrzała wprost na Camel.

— Ale ty nie musisz robić tego samego. Nie jesteś mną. Nie musisz stawać się jego cieniem. Możesz być... swoja.

Camel uniosła powoli wzrok. W jej oczach wciąż iskrzył chaos, ale coś w tej iskrze się zmieniało.

— Ale... jeśli chcę być klaczką chaosu... na własnych zasadach?

— To twój wybór — powiedziała Fluttershy łagodnie. — Ale wiedz, że własne zasady zaczynają się tam, gdzie kończy się cudza aprobata.

Camel spojrzała na ojca.

Discord tylko się uśmiechnął. I choć jego uśmiech był nieco łobuzerski, był też... prawdziwy. I może — odrobinę dumny.

— No więc? — zapytał lekko. — Gotowa na nową rundę, moje małe tornado?

Camel wciągnęła powietrze. Wypuściła.

I skinęła głową.

— Tak. Ale tym razem... to ja wybieram reguły.

Rozdział XI: Nowa Runda. Część II

Camel nie wiedziała, jak się tu znalazła.

Jeszcze chwilę temu siedziała na polanie z Screwball, a teraz — otaczało ją coś na kształt nieba o świcie, rozmazanego jak farba wodna. Chmury miały kształt sennych figur: pawich ogonów, dłoni z konfetti, poruszających się w zwolnionym tempie nut.

Na szczycie skalnej półki, zawieszanej nad tym wszystkim, siedział Discord.

Na jego tronie pulsowały fragmenty snów Camel: wirujący smoczek, fragment tańca, kawałek pustki i echo słów: „Nikt cię nie zapyta”.

— Ciekawe — powiedział cicho, nie patrząc na nią. — Że jeszcze masz sny. Myślałem, że twoja iskra zgaśnie, kiedy ją poddasz w próbie... Ale widocznie byłaś sprytniejsza, niż przypuszczałem.

Camel podeszła ostrożnie, choć nie z lęku. Raczej z chłodnym opanowaniem.

— To nie sen. To tylko... miejsce, gdzie próbujesz mnie przekonać — powiedziała.

Discord uśmiechnął się kątem pyska.

— Może. Ale też miejsce, gdzie możesz w końcu przestać się bać tego, kim jesteś. — Zniżył głos, miękki jak chmurka waty cukrowej. — Klaczka chaosu... która nie chce niszczyć. Paradoks, prawda?

— Może... nowy rodzaj chaosu — odparła Camel, zadzierając lekko brodę. — Taki, który nie potrzebuje wojny z miłością.

Discord wstał z tronu. W jego oczach nie było kpiny. Była... fascynacja.

— Kiedy Screwball mnie zdradziła, sądziłem, że to koniec mojej gry. Że nie będzie już nikogo, kto chciałby tej iskry... bez walki. A potem pojawiłaś się ty. Wzięta z innego świata, przemieniona zbyt wcześnie, zbyt gwałtownie. I oparłaś się... temu wszystkiemu.

Podszedł bliżej. Pochylił się, jakby miał zdradzić sekret.

— Ale gdy sama sięgnęłaś po nasionko... wtedy wiedziałem, że gra się nie skończyła. Po prostu zmieniła zasady.

W powietrzu rozbłysła mapa — lewitująca między nimi. Kraina zebr, kraina gryfów, wirująca puszczą. Ruchome pola, przesuwające się jak plansza do gry. Ale nie narzucona. Nie gotowa.

Pusta. Gotowa do zapisania.

— Chcesz być moją córką? — zapytał po raz drugi. Tym razem bez ironii. Bez pułapki.

Camel spojrzała na mapę, a potem na niego.

— Nie wiem, czy twoją. Ale wiem, że nie chcę już udawać, że nie czuję tej magii. Że ona jest tylko przymusem. Teraz... to część mnie. Ale to ja zdecyduję, co z nią zrobię.

— Brawo. — Discord zaśmiał się, nie złośliwie, lecz... z uznaniem. — W końcu ktoś pyta o reguły. I nie czeka, aż zostaną narzucone.

Dotknął pazurem fragmentu mapy.

Plansza rozbłysła.

— W takim razie, mała Tornado... Witaj w nowej rundzie. I pamiętaj: chaos nie daje odpowiedzi. Tylko możliwości.

Camel spojrzała w bok — jakby szukała wzroku Screwball, choć jej tu nie było.

Potem spojrzała przed siebie.

I zrobiła krok.

Powietrze pachniało cukrem pudrem i burzą. Przestrzeń wokół drżała, jakby sam świat był zawieszony w oczekiwaniu.

Camel unosiła się lekko nad powierzchnią — nie leciała, ale też nie stała. Czuła, jak energia chaosu pulsuje w niej równo z biciem serca. Nie walczyła już z nią. Była jak ocean pod kontrolą — niebezpieczny, ale piękny.

Obok, Screwball pojawiła się bez dźwięku. Również zawieszona w tej przestrzeni, lecz spokojna. Bez masek. Bez śmiechu. Po prostu... siostra.

Camel nie odwróciła wzroku. Nie musiała. Czuła ją obok.

— Myślałam, że przyjdiesz — powiedziała cicho.

Screwball uniosła brwi.

— Myślałam, że mnie nie potrzebujesz.

— Nie potrzebuję... żebyś mnie prowadziła. Ale chcę, żebyś była — odparła Camel.

Spojrzały na siebie. W ich oczach nie było rywalizacji. Ani cienia.

Tylko lustrzane zrozumienie.

— Będę klaczką chaosu — powiedziała Camel powoli. — Ale to ja zdecyduję, czy pomagam jemu... czy komuś innemu.

W oddali Discord właśnie ustawiał kolejną planszę. Balansował na chmurze z wody sodowej i układał z balonów drzewa, drogi i zagadki. Gra już się zaczęła.

Screwball podeszła bliżej.

— Tylko pamiętaj, siostrzyczko... chaos nie lubi granic. Jeśli raz znikniesz w grze... może nie być wyjścia.

Camel uśmiechnęła się — nie wyzywająco, lecz spokojnie. Dojrzałe dziecko.

— Dlatego nie gram sama.

Ich kopytka lekko się dotknęły.

Nie było fanfar. Nie było eksplozji magii. Tylko błysk w ich oczach.

Decyzja.

Camel spojrzała na Screwball. Delikatnie. Poważnie.

— Chyba... coś między nami zostało niedokończone — powiedziała, cicho, ale z wyraźną intencją.

Screwball milczała.

— Wtedy... wybrałam posąg. Może dlatego, że się bałam, że przegrasz — dodała Camel bez wstydu. — A może dlatego, że wiedziałam, że przegrałabym ja.

Jej głos nie był pełen żalu. Był prawdziwy.

Screwball wciąż milczała, ale już patrzyła inaczej — nie jak starsza siostra. Jak równa.

Camel uniosła głowę. Jej grzywa zadrżała od pulsującej magii chaosu, ale jej serce biło spokojnie.

— Teraz... chcę dokończyć. Nie dla ojca. Nie dla gry.

Zrobiła krok w przód, stając naprzeciw siostry.

— Dla nas.

Screwball przekrzywiła lekko głowę.

— I jak mamy grać, Camel? Ty... jesteś klaczką chaosu. Ja już nie.

— Nie chodzi o to, żeby wygrać. Chodzi o to, żeby zobaczyć, czy jeszcze potrafimy się zatrzymać, zanim przekroczymy granicę. Ty potrafiłaś. Może ja też.

Zamilkła. Spojrzała w bok.

— Albo nie. Ale nie chcę uciekać z tej planszy, nie wiedząc.

Screwball zrobiła krok. Potem drugi.

Stały naprzeciwko siebie, dokładnie jak wtedy — kiedy Discord podjudzał, podsuwał smoczek, kręcił ruletką strachu.

Ale teraz — nie było go między nimi.

Tylko one dwie.

— Gotowa? — spytała Screwball.

— Tak — odparła Camel. — Ale nie po to, żeby cię pokonać.

Jej oczy błyszczały. Spiralnie. Ale w głębi — był ludzki błysk.

— Po to, żeby cię zrozumieć.

I wtedy plansza sama się uruchomiła.

Nie przez Discorda.

Przez decyzję.

Świat zaczął się przesuwać — rozkładając między nimi przestrzeń, rozciągając ich cienie jak reflektory sceniczne.

Ale zamiast chaosu — nastał rytm.

Nieprzewidywalny. Ale czysty.

Pojedynek zaczął się raz jeszcze.

Ostatni raz.

Screwball nie zdążyła odpowiedzieć.

Camel uniosła się lekko nad ziemię — bez wysiłku, jakby powietrze samo ją podtrzymywało. Różowo-fioletowy blask sączył się z jej kopytek, ogona, z końcówek grzywy. Nie był agresywny. Był... szczery.

— Wiesz... — szepnęła. — Nie wierzę, że już nie jesteś klaczką chaosu.

Jej głos był delikatny, niemal błagalny.

— Wtedy, gdy neutralizowałaś moje zaklęcia... gdy skręcałaś rzeczywistość, wyginałaś pola snu... To była ta sama magia, siostró. Ta sama... co płynie we mnie. I w nim.

Jej róg zabłysnął, ale nie w gotowości do ataku. W... rezonansie.

— Czemu twierdzisz, że nią nie jesteś? — zapytała Camel. — Przecież tego nie zmienimy...

Zamilkła na moment. Jej głos zadrżał.

— Ja... nie jestem jego prawdziwą córką. Nie urodziłam się z chaosu. On mnie wybrał, bo ty zawiodłaś. Bo ty przestałaś go bawić.

Zamknęła oczy na ułamek sekundy, potem otworzyła.

— Harmonia mnie odrzuciła. Nie pasuję. Wiem to. Czułam to... — spojrzała w bok, jakby szukała Bitsi, albo tylko jej obecności w sercu.

A potem uniosła kopytko i wskazała siostrę.

— Ale ty... ty jesteś prawdziwa.

Nie było w tym zazdrości.

Było w tym pragnienie uznania.

— Jesteś córką chaosu... nie adoptowaną. Z krwi. A ja tylko... próbuję zrozumieć, co to dla mnie znaczy.

Screwball nie odpowiedziała od razu.

Ale magia wokół niej... zaczęła drżeć. Nie chaos. Nie harmonia. Coś pomiędzy.

I właśnie wtedy odezwał się Discord.

Stał kilka kroków dalej, oparty o unoszący się znak zapytania, jakby przyglądał się wystawie w galerii sztuki.

— Wiesz, kochanie? — rzucił z uśmiechem, zaskakując Camel. — Nie spodziewałem się po tobie aż takiej wnikliwości. Znowu ta sama sztuczka?

Camel spojrzała na niego niepewnie, uniosła lekko kopytko, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Discord ją uprzedził:

— Dziedzictwo... — westchnął teatralnie, przechadzając się po własnym unoszącym się w powietrzu zdaniu. — Dziedzictwo chaosu. Screwball ma je we krwi. Ty... masz je z wyboru. To różnica, moja droga.

Jego głos spoważniał. Nawet magia wokół zadrżała.

— Ona urodziła się z mojej esencji. Ty... zostałeś przekształconą. Przyjęta. A jednak... ty stoisz tutaj. A ona — oniemiała.

Camel uniosła się lekko nad ziemię. Blask chaosu pulsował w niej spokojnie. Nie atakował. Po prostu był.

— Nie wierzę, że ona jest tylko wodą — odparła. — Kiedy walczyliśmy... czułam ogień. Taki sam jak mój. Skierowany przeciwko mnie. Nie tylko harmonia tłumi ogień.

— Ale woda jest harmonią — prychnął Discord, z niesmakiem w głosie. — Uległa, zmienna... przebacząca. Obrzydliwe.

Zadrżało powietrze. Gdzieś w górze niebo zaczęło się rozpadać na odłamki luster, z których każde odbijało inną wersję tej rozmowy. Inny przebieg. Inne decyzje.

Camel machnęła kopytkiem.

— Prosiłeś, żebym się nie bała. Więc się nie boję.

Discord spojrzał na nią z ukosa, zaskoczony.

— A jednak... nie odrzucasz tego, co ci dałem.

— Nie — szepnęła Camel. — Bo to nie twoja magia mnie definiuje. Tylko to, co z nią zrobię.

Niebo zadrżało. Lusterka zaczęły spływać jak deszcz — nie raniły. Odbijały wspomnienia.

Camel spojrzała na Screwball. I wtedy to padło.

— Dokończmy to.

Screwball zmarszczyła brwi.

— Co?

— Naszą walkę — odpowiedziała Camel, a jej róg zabłysnął. — Nie po to ją przerwałam... żeby zostawić to niedopowiedziane. Czułam ogień w tobie. Nie był harmonią. Nie był spokojem. Był moim lustrzanym odbiciem.

Jej oczy rozbłysły, gdy fala różowo-fioletowej magii eksplodowała u kopytek i uniosła ją wyżej.

— Chcę wiedzieć, co naprawdę cię napędza, Screwball. I czy chaos można odrzucić, jeśli wciąż nim walczysz. Chcę to poczuć. W pełni.

Ziemia — a raczej plansza — zadrżała. Nad głowami rozświetlił się krąg: arena zbudowana z magicznych pierścieni. Otoczenie zapadło się w mgłę.

Discord... zamilkł. Patrzył. Oczy błyszczały mu złowieszczym światłem, ale usta pozostały zamknięte.

Screwball spojrzała na własne kopytka. Magiczna aura zaczęła sączyć się z ich brzegów — mimo że była tylko klaczką ziemną. Chaos znał jej ścieżki bez rogu, bez skrzydeł.

— Camel... — powiedziała cicho. — Jeśli to zrobimy, coś się zmieni.

— Wiem — odparła Camel. — Ale może dopiero wtedy będziemy mogli być naprawdę siostrami.

I wtedy uderzyła.

Nie z nienawiści.

Z potrzeby prawdy.

Wiatr eksplodował na krawędziach planszy. Światło skręciło się wokół Camel, gdy pierwsza fala magii ruszyła ku Screwball — skręcona w spiralę, ostra jak cięcie emocji, które przez nią przechodziły.

Screwball nie krzyczała. Odpowiedziała — skręcając przestrzeń, zakrzywiając sam czas, przesuwając siebie poza oś. W jednej chwili była tam, w drugiej — nad Camel, z uśmiechem pełnym... bólu? Złości? A może — zgody.

I walka się rozpoczęła.

Magia chaosu. Ogień przeciw ogniovi. Dziedzictwo przeciw decyzji. Siostry przeciw siostróm.

Ale tym razem — na własnych zasadach.

Rozdział XII: Synchronizacja

Czas spowolnił.

Pierwsze uderzenie Camel nie trafiło, ale zostawiło na powietrzu ślad — smugę skręconej przestrzeni, jakby sama rzeczywistość zawahała się, czy powinna istnieć. Screwball odskoczyła w bok, wirując jak zabawka w dłoni dziecka. Ale nie uciekała.

W następnej sekundzie sama rzuciła magię.

Nieprzewidywalną. Szaloną. Pochodziła z niej — z chaosu, który nie potrzebuje rogu, by działać. Kopytkiem zakresliła w powietrzu coś, co wyglądało jak dziecięcy rysunek... i wybuchło z siłą porzuconego snu.

Camel zawirowała w powietrzu. Odbiła atak, skręcając jego tor własną aurą. Różowo-fioletowy ogień zderzył się z falą tęczowych kłoców, które miały ją zamknąć w klatce wspomnień. Ale Camel nie dała się zamknąć. Uderzyła ponownie — spiralnie, głęboko, w samo centrum iluzji.

— Nie chowaj się za kształtami! — krzyknęła. — Pokaż mi ogień!

Screwball zacisnęła zęby. Kolejne zakłęcie — krótki wir, który rozwinął się w wirującą grę planszową. Każde pole inne. Każde zdradliwe. Camel musiała przeskakiwać — nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie. Każdy krok wywoływał inną wersję samej siebie: zrezygnowaną, zdradzoną, rozbitą. Ale nie zatrzymała się.

Jej róg zabłysnął raz jeszcze.

— Nie po to mnie stworzyłeś, Discordzie, bym udawała — powiedziała, nie patrząc na niego.
— I nie po to wróciłam, Screwball, by słuchać wymówek.

Screwball krzyknęła i uderzyła wreszcie tak, jak naprawdę umiała.

Nie było już klocków. Nie było masek. Był ogień — skręcony, czysty, złoty. Płonął jak światło szalonego serca.

Camel przyjęła go na siebie.

Zatrzęsła się cała, ale nie ustąpiła.

W oku burzy — w miejscu, gdzie ich moce się zetknęły — powstał wir, który rozsadził przestrzeń.

Discord cofnął się, po raz pierwszy naprawdę zaskoczony.

W oku tej burzy stały dwie klaczki.

Dwie siostry.

— Widzisz? — wyszeptała Camel przez zaciśnięte zęby. — To nie była woda. To był ogień. Twój ogień, siostró. Nasz ogień.

Screwball... zamarła.

A potem... płomień przygał.

Jej magia zatrzepotała w powietrzu, jakby nie wiedziała, czy ma zostać, czy zniknąć.

— Camel... — powiedziała cicho. — A jeśli... jeśli nie mogę go odrzucić?

— To go przyjmij. Ale świadomie. Nie chowaj się za cudzymi słowami. Bądź sobą — nawet jeśli to znaczy... być chaosem, który wybrał miłość.

Niebo przestało się kruszyć.

A Discord... milczał.

Po raz pierwszy — bez słów.

Niebo zadrżało. Lusterka zaczęły spływać jak deszcz — nie raniły. Odbijały wspomnienia.

Camel wyciągnęła przed siebie kopytko, a chaos wokół niej zawirował jak ognista spirala.

— Prosiłeś, żebym się nie bała. Więc się nie boję — powtórzyła.

Screwball spojrzała w jej oczy.

I wtedy po raz pierwszy od dawna — nie zaprzeczyła.

Magia wokół niej pulsowała nieregularnie. Dotąd skręcała świat, zmieniała kolory i sensory, ale teraz... po prostu była. Ogołocona z masek. Prawdziwa.

— Masz rację — powiedziała Screwball cicho. — To, co robiłam... to nie była harmonia. To był chaos. Mój. Urodzony ze mnie. Z ciebie. Z nas.

Camel zamarła.

A potem tornado ruszyło.

Ich magiczne pole, wirujące od początku pojedynku, zaczęło przyspieszać. Skręcało powietrze w węzle niemożliwym do odczytania, z każdej strony eksplodowały fragmenty mapy Discorda, jakby sama przestrzeń próbowała uciec.

Discord, unoszący się z boku, po raz pierwszy zrobił krok w tył.

— Nie... — wymamrotał. — To nie miało tak się skończyć...

Ale było już za późno.

Eksplozja ciszy. Tornado zamarło — i rozpadło się w ułamku sekundy, z siłą, której nie wydałyby ani magia chaosu, ani harmonia — tylko **prawda**.

Świat Discorda rozpadł się jak bańka mydlana. Zniknęły iluzje, ściany, granice.

A Camel i Screwball znalazły się... w powietrzu, wysoko nad Ponyville. Unosiły się wśród delikatnych, porwanych chmur, jak dwie iskry z tej samej pochodni.

Pod nimi — spokojne miasteczko.

Za nimi — rozszarpany ślad po bańce chaosu.

Przez chwilę było tylko cicho.

I wtedy Camel uśmiechnęła się do siostry.

— Teraz już wiesz.

Screwball spojrzała w dół. Łzy nie spływały jej po policzkach. Po prostu... lśniły.

— Wiem.

I wtedy... coś się poruszyło.

W pustce, którą zostawił po sobie świat Discorda, zawibrował cień. Zmaterializował się... głos.

— Ach... więc tak to kończycie?

Nie brzmiał złowieszczo. Ani złośliwie. Był... pełen zdziwienia. A może nawet czegoś więcej.

Na granicy rozbitego wymiaru zawisła smuga — skręcona spirala magii, która powoli przybrała znajomy kształt. Discord, poszarpany, jakby sam ledwo trzymał się w jednej formie, unosił się pośród tego, co pozostało z jego świata.

— Uderzyłyście razem. Nie żeby to nie było przewidziane, ale... *nie w tym układzie*.

Spojrzał na Screwball. Jego oczy były inne niż zwykle — zbyt spokojne.

— Cóрко.

Słowo zawisło między nimi, bez ironii.

— Myślałem, że odrzucisz wszystko, co ci dałem. Że wybierzesz jej świat. Miękki. Cichy. Dobry. Taki, jaki chciała twoja matka.

Screwball spojrzała na niego spokojnie.

— Ona była dobra. I silna. Ale to, co mam w sobie... to twoje. I już tego nie wypieram.

— Nie wypierasz... ale też nie oddajesz. — Discord przekrzywił łeb, jakby próbował zrozumieć zagadkę, którą sam stworzył. — To... nowe.

Camel milczała. Ale jej obecność była wyczuwalna — jak ogień, który już nie parzył, ale trwał.

Discord westchnął głęboko.

— Chaos zrodzony z prawdy. Z wyboru. Z miłości.

Zamrugął.

— Jakież to... rozczarowująco piękne.

Obrócił się lekko w przestrzeni, a jego ciało zafalowało, jakby miał zaraz zniknąć.

Ale nie zniknął.

— Pytanie brzmi... czy wystarczy wam tej siły, gdy zaczniemy *nową rundę*. Bo widzicie... ja nie skończyłem.

Uśmiechnął się z błyskiem szaleństwa w oku.

— Tylko... zmieniłem zasady.

A potem zniknął w wirze czasu i światła.

Chmurka pod kopytkami Screwball rozpadła się lekko, ale nie spadła. Camel złapała ją bez słowa — tak, jakby znały się od zawsze.

Niebo nad Ponyville znów było czyste.

Ale wiedziały, że to... *cisza przed kolejną grą*.

Ponyville spało.

Cisza nie była martwa — była głęboka, oddechowa, jak wtedy, gdy świat na chwilę przestaje się bać.

Camel i Screwball opadały powoli na dach jednego z domów — nie z wyczerpania, lecz jakby same chmury prowadziły je w dół. Nie musiały mówić. Jeszcze nie.

W tej ciszy pojawił się cień ruchu.

Zza wzgórz, nad którymi poranne mgły zaczęły się rozwiewać, unosiło się coś... znajomego. Zbyt znajomego.

Nie był to Discord. Nie w pełni.

Był to cień jego spojrzenia.

— Dziewczynki... — rozległ się głos, który płynął z samej struktury przestrzeni. — Jeszcze jedno pytanie, zanim zrobicie sobie kakao i zaczniecie się wzruszać...

Camel zmrużyła oczy.

Screwball uniosła brew.

Nie wyglądała już na pogubioną.

Była... gotowa.

— Jesteście pewne, że wiecie, co zrobiłyście?

Głos był cichy, jakby nadawał z innego wymiaru. Jakby Discord nie mówił jako on — ale jako echo reguł, które sam kiedyś ustanowił.

— Jedna z was przyjęła swoje pochodzenie.

Druga — swoją przemianę.

— I razem... — zawiesił głos z zauważalnym uśmiechem — ...rozsadziłyście planszę.

Zawisła cisza. Na krótką chwilę w samym powietrzu zamigotały cyfry. Liczby. Równania. Strategie.

Po czym głos znów zadrżał:

— Ale gra w chaos... nigdy nie ma końca.

Przynajmniej dopóki ktoś nie ustawi nowych zasad.

Chmurki zadrżały pod ich kopytkami.

I wtedy przestrzeń przed nimi rozsunęła się — jakby ktoś rozchylił niebo.

Za granicą światła — nowa plansza.

Ale nie była to sala chaosu.

To był inny świat. Ciepły. Słoneczny. Ale coś w nim drgało...

Na horyzoncie biegły zebry. Po niebie przelatywały gryfy. A gdzieś między nimi coś... czekało.

Screwball odwróciła się do Camel.

— On chce zacząć nową grę — powiedziała. — Ale tym razem... to my wybieramy reguły.

Camel uśmiechnęła się nieco gorzko.

— Tak, tylko że on już tam jest. I wie więcej, niż pokazuje.

— To dobrze — odparła Screwball. — Bo ja też.

I wtedy zrobiła krok naprzód.

A świat rozchylił się przed nimi, jak zaproszenie.

Screwball już miała przekroczyć granicę rozchylonego nieba, gdy głos Camel ją zatrzymał.

— A może najpierw... trochę odpoczniemy?

Zatrzymała się pół kroku za siostrą. Blask wokół niej jeszcze migotał, lecz nie groził eksplozją. Po prostu był — niespokojny ogień pod powierzchnią, szukający uziemienia.

— To wyzwanie taty nie ucieknie — dodała Camel cicho, stając ramię w ramię ze Screwball.

Ich kopytka stuknęły w kamienie dachu tym samym rytmem.

Jeden rytm. Jeden oddech. Jedno serce.

— Pamiętasz? — zapytała Camel z miękkim uśmiechem. — Synchronizacja. Działanie razem... daje wielką moc. To jak rezonans.

Screwball spojrzała na nią uważnie. W jej oczach nie było już ironii. Tylko czułość. I lekki cień wspomnienia.

— Bitsi mówiła... że to właśnie sprawiło, że niemal się z nią stopiłaś. Że wasze dusze na moment... oddychały jednocześnie. — Camel zawahała się, a potem dokończyła: — I to też sprawiło, że dałyśmy radę zniszczyć świat taty. Przed chwilą. Nawet sam chaos... tego nie wytrzymał.

Screwball westchnęła, ale nie ze zmęczenia.

Z zamyślenia.

— Może dlatego chaos go tak przeraża — powiedziała w końcu. — Bo w prawdziwej synchronizacji... nie ma miejsca na dominację. Tylko na równość.

Camel nie odpowiedziała od razu.

Wspólnie usiadły na gzymsie, wysoko nad Ponyville. W ciszy, która nie była pusta, tylko pełna wspólnego istnienia. Mgła pod nimi unosiła się łagodnie, a granica nowej planszy wciąż czekała — nieruchoma, lecz pulsująca.

Wyglądało na to, że Discord naprawdę się nie spieszy.

I może... po raz pierwszy czekał z ciekawością.

Camel siedziała cicho przez dłuższą chwilę, aż w końcu szepnęła:

— A czy nie to właśnie chciał wykorzystać ojciec?

Screwball poruszyła się niespokojnie, ale nie zaprzeczyła. Camel mówiła dalej, bez oskarżenia — z próbą zrozumienia.

— By zdobyć Bitsi... chciał dominować poprzez ciebie. Dlatego cię wezwał. Bo potrafisz... tak się stapiać. Z czymś sercem. Z myślami. Z rytmem.

Screwball zacisnęła kopytko.

— On naprawdę by wygrał — kontynuowała Camel. — Myślał, że... jeśli Bitsi ci ulegnie... i staniecie się jednym... to rozdzieli nas od środka. Od środka, Screwball. Nie siłą, nie przemocą. Ale tym, co najgłębsze. Tym, co najświętsze.

Spojrzała siostrze w oczy.

— Chciał ją opętać, prawda?

Screwball nie odwróciła wzroku.

W jej oczach zadrgało coś, co można by nazwać... wstydem.

Ale nie tylko.

— Nie kazał mi jej skrzywdzić — wyszeptała. — On... chciał, żebym ją „przyjęła”. Wciągnęła do środka. Do naszego świata. Do jego świata.

Milczały chwilę.

— Ale ja wtedy... nie wiedziałam, że Bitsi może... że ona się nie zatrzyma. Że jeśli jej dam wszystko, odda się cała.

— Bo ona taka jest — potwierdziła Camel. — I to miało być twoją bronią.

Screwball zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, były lekko wilgotne.

— A ja miałam być kluczem.

Camel pochyliła się lekko, ich czoła niemal się zetknęły.

— Ale nie jesteś.

— Nie... — potwierdziła Screwball szeptem. — Już nie.

W ciszy, która zapadła, obie spojrzały w dół — na spokojne Ponyville. Jakby nic się nie wydarzyło. Jakby świat był wciąż cały.

Ale one już wiedziały, że wszystko się zmieniło.

— Pamiętasz... — odezwała się Camel łagodnie — jak trzymałaś mnie za serce?

Screwball zadrżała.

— Myślałam wtedy, że mnie zniszczysz — dokończyła Camel. — Ale to nie był chaos. To było... wołanie. Próbowалаś mnie przekonać. Wciągnąć. Zmusić. Ale nie dla ojca. Dla mnie.

Screwball milczała.

Camel znów się uśmiechnęła.

— Wiem, że chciałaś mnie mieć przy sobie. Po swojemu. Ale teraz już wiesz, że jest inna droga.

— Synchronizacja — szepnęła Screwball. — Bez pochłaniania.

— Bez dominacji — potwierdziła Camel. — Tylko rezonans.

I wtedy... ze wspomnień uniósł się głos. Cichy, melodyjny. Śmiech Fluttershy, gdzieś z głębi ich pamięci.

— Dziewczynki... nie musicie być takie same, by być razem.

Wspomnienie

To był ogród.

Nie taki zwykły — bardziej jak wysnzione miejsce, gdzie rzeczy dzieją się pomiędzy spojrzeniem a zamknięciem powiek. Wysoka trawa falowała jak ocean, a ponad nią unosiły się chmurki tak lekkie, że można było uwierzyć, że ktoś je tu zostawił specjalnie — dla dekoracji.

Camel siedziała na starym kocu, z nogami podciągniętymi pod brodę. Miała na sobie sukienkę w niebieskie stokrotki i czuła się... dziwnie. Bo obok niej leżało coś, co — jak sądziła — nie miało prawa istnieć.

Screwball.

Żrebak. Ale nie taki zwyczajny. Jej oczy były w różnych kolorach, grzywa wyglądała jak sprężyna tęczy, a ruchy... nie przypominały żadnego zwierzęcia. Raczej jakby cały świat próbował z nią tańczyć.

— Ty jesteś z bajki — powiedziała wtedy Camel, z mieszaniną ostrożności i fascynacji. — Prawda?

Screwball uniosła głowę z trawy i spojrzała na nią z taką powagą, że dziewczynka aż się skrzywiła.

— Nie. Ty jesteś z bajki.

Camel zamrugwała.

— Co?

— Bo ja śnię ciebie — wyjaśniła Screwball. — Zawsze tu przychodzisz, jak jestem smutna. I zawsze pytasz, czy umiem robić sztuczki. A potem mówisz, że nie istnieję. Ale wracasz.

Camel spuściła wzrok. Czuła się, jakby była rozpięta między snem a prawdą.

— Może... obie jesteśmy snem?

— Może — zgodziła się Screwball. — Ale wiesz co? Moja mama mówi, że nawet jeśli coś jest snem... to jeśli czujesz to naprawdę... to też się liczy.

Usiadła wtedy bliżej Camel, tak blisko, że dziewczynka mogła dotknąć jej miękkiej sierści. W dotyku nie było nic nierealnego.

— A twoja mama? — spytała Camel cicho.

— Fluttershy — odpowiedziała Screwball z dumą. — Ona mówi, że każda istota zasługuje na to, by być kochana. Nawet jeśli pochodzi z chaosu. Nawet jeśli się różni. Nawet jeśli nie pasuje.

Camel zamilkła.

Gdzieś daleko zaszczekał pies. A może to była krzywa trąbka świerszcza? Tu wszystko było możliwe.

— Czasem mam wrażenie, że jestem inna — powiedziała dziewczynka. — Nie dziwna, tylko... jakbym nie pasowała.

Screwball pochyliła głowę.

— Może po to tu jesteśmy. Żeby zobaczyć, że inne też jest potrzebne.

Camel nie odpowiedziała. Ale wyciągnęła dłoń i dotknęła miękkiego boku klaczki. A potem poczuła coś niesamowitego — bicie serca. Takie samo, jak jej własne. Tylko szybsze, jakby ta istota miała w sobie więcej muzyki niż rytmu.

— Jeden rytm... — szepnęła.

Screwball spojrzała na nią, lekko przechylając głowę.

— Jeden oddech — dodała.

I razem... wypowiedziały trzecie.

— Jedno serce.

A potem — zniknęły. Ogród się rozmył. Zostało tylko wspomnienie.

I ten rytm, który do dziś pulsował między nimi.

wspomnienia

Ich oddechy znów się zsynchronizowały.

I przez moment, jakby rzeczywistość zadrżała raz jeszcze — ale nie ze strachu. Z ulgi.

Wspomnienie mamy — delikatny głos Fluttershy — jeszcze unosił się gdzieś nad nimi, jak zapach trawy po burzy. Nie musiały do niego wracać. Było już z nimi.

Camel dotknęła lekko boku siostry.

— To już nie dzieciństwo — szepnęła. — Ale rytm pozostał.

Screwball odwróciła głowę, nie uśmiechnęła się — ale jej spojrzenie było pełne światła. Takiego, które przeszło przez ogień.

— To on chciał to wykorzystać — dodała Camel cicho. — Twój dar. Naszą więź. Naszą gotowość, by kochać. Myślał, że to słabość.

— A to była siła — powiedziała Screwball. — I to ona go zniszczyła.

Poniżej, w dolinie, Ponyville zaczęło się budzić. Mgła odpływała powoli między domami, jak senny oddech świata, który nie wiedział, jak blisko był końca.

Camel wyciągnęła kopytko.

— Stuk.

Screwball odpowiedziała po chwili.

— Stuk.

— Jeden rytm...

— Jeden oddech...

— Jedno serce.

Zamknęły oczy.

I świat się nie rozsypał.

Nie tym razem.

Mgła wokół nich uspokoiła się. Z poniższych ulic dobiegały pierwsze dźwięki poranka — cichy trzask skrzydeł Derpy, stukot koszyka z chlebem dostarczonym do cukierni. Ponyville naprawdę istniało. Nadal.

Ale nad nimi wciąż trwało rozdarcie nieba.

Pulsujące, zapraszające.

Plansza nie zniknęła. Po prostu... czekała.

Camel spojrzała na Screwball.

— Jesteś gotowa?

Screwball nie odpowiedziała od razu. Zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, były spokojne.

— Tym razem... to my ustalamy reguły — powiedziała powoli. — Prawdziwie.

Camel skinęła głową.

— I tym razem nie jesteśmy pionkami.

Unosiły się razem. Ramię w ramię.

I zrobiły pierwszy krok.

Rozdział XIII: Tury Chaosu

Granica rozchyliła się bez dźwięku. Jakby świat nie chciał się im sprzeciwić.

Za nią było ciepło.

Nie gorąco — ale jak pierwsze promienie słońca, gdy budzisz się po trudnym śnie i jeszcze nie wiesz, czy to już dzień... czy tylko przerwa.

Ziemia była tu złocista, z delikatnymi kręgami na piasku — jakby coś chodziło tu przed nimi. Może zebra. Może coś większego.

Na niebie, z zawrotną gracją, wirowały gryfy. Ich skrzydła błyszczały jak szkło i stal.

Ale nie było tu walki.

Jeszcze nie.

W powietrzu wisiło pytanie.

Camel i Screwball stanęły obok siebie na samym skraju nowej planszy. Za nimi Ponyville zniknęło już w oddali — nie dlatego, że się oddalały. Ale dlatego, że historia, którą napisały... właśnie się zamykała.

Przed nimi — nieznane.

Screwball rozejrzała się powoli. Jej ogon lekko drgał, jakby czuł napięcie miejsca szybciej niż myśli.

— On tu jest — powiedziała cicho. — Ale nie jak kiedyś. Nie wszędzie. Nie w powietrzu.

Camel przymrużyła oczy.

— Schował się?

— Może. Albo czeka, aż same zdecydujemy, czym będzie ta gra.

Camel zrobiła pierwszy krok naprzód.

— To dobrze. Bo ja... mam kilka pomysłów.

I wtedy... coś poruszyło się w piasku.

Nie wrogo. Nie natychmiast. Ale z wyczuciem — jak gracz, który właśnie dotknął pierwszego pionka.

Gra się zaczynała.

Ale tym razem — naprawdę po ich stronie planszy.

Piasek pod ich kopytkami był zbyt cichy.

Jak plansza, która nie chce wydać pierwszego dźwięku. Jak dech wstrzymany przed rzutem kością.

Screwball i Camel szły powoli, ostrożnie. Każdy ich krok rysował krąg, jakby przestrzeń wokół była płynna, miękka, gotowa przyjąć nowy wzór.

— Zaczyna się gra... ale nie powiedział, kto pierwszy — mruknęła Camel.

— Albo... właśnie powiedział, nie mówiąc — odparła Screwball. — Znasz go.

— Wiem. To znaczy... teraz wiem.

Zatrzymały się.

Przed nimi... figura.

Nie Discord. Nie w pełni.

Ale jego obecność. Skoncentrowana. Materializująca się z drżenia powietrza.

Był jak rzeźba z puzzli — nieustannie przekształcająca się. Ręka w ogonie, ogon w oczach, oczy w słowach.

I uśmiech. Ten sam, co zawsze.

— Witajcie, moje najukochańsze katastrofy — powiedział.

Jego głos nie był groźny. Był... rozbawiony. Zaintrygowany. Niemal dumny.

— Przyszłyście? Bez zaproszenia?

Screwball uniosła brew.

— To ty je wystawiłeś.

— Och, zaledwie uchyliłem niebo. A wy już leciecie z kopytkami naprzód. Typowe — westchnął Discord.

Camel zmrużyła oczy.

— Więc co to będzie, tato? Planszówka? Szachy? Balet?

Discord skrzywił się teatralnie.

— Balet już był. I, cóż... — rozłożył ramiona — ...powiedzmy, że wasze arabeski lekko wybiły mnie z rytmu.

Screwball nie uśmiechnęła się. Wciąż była skupiona.

— Nie przyszłyśmy się śmiać.

Discord przechylił głowę. A potem... zamilkł.

Po raz pierwszy od dawna.

Aż w końcu przemówił:

— Nie przyszłyście się śmiać. I nie przyszłyście się bać. Więc czego chcecie?

Camel odpowiedziała pierwsza.

— Sprawiedliwej rundy. Po naszej stronie.

Discord milczał chwilę dłużej.

— A jeśli wygracie?

— Wtedy... przestaniesz grać z dziećmi jak pionkami — powiedziała Screwball. — Przestaniesz robić z nich testy. Z nas.

Jego spojrzenie spoważniało.

— I jeśli przegram?

— To będzie twoja decyzja — odparła Camel. — Tak samo jak nasza była decyzją, by przyjść tutaj.

Przez ułamek sekundy... coś zadrżało w jego oczach.

Nie smutek.

Nie gniew.

Może... duma?

— Dobrze — powiedział.

I świat wokół nich... poruszył się.

Plansza rozbłysła.

Pierwszy pionek spadł z nieba jak meteoryt i roztrzaskał się w piasku. Z jego szczątków wyłoniła się postać. Ulepiona z pyłu. Ze wspomnień.

Mała Screwball. Dziewczynka. Zanim jeszcze zrozumiała, czym jest chaos.

Screwball zadrżała. Camel przesunęła się naprzód.

— Tura pierwsza — powiedział Discord z uśmiechem. — Przeciwnik: ty sama

Screwball patrzyła na dziewczynkę ulepioną z pyłu.

Z siebie.

Mała Screwball siedziała w piasku z rozczapierzoną grzywką, oczami wielkimi jak latarnie i uśmiechem, który jeszcze nie wiedział, co to znaczy „zdradzić”. Wpatrywała się w starszą wersję siebie z mieszaniną zachwyty i niepokoju.

— Ona... — szepnęła Screwball.

— To echo. Tylko echo. Ale twoje — powiedział Discord z lekkością, jakby opowiadał o nowym rodzaju piasku do zabawy. — Twoja pierwsza decyzja. Pierwsza iluzja. Pierwsze „tak”.

Camel postąpiła krok naprzód, ale nie rzuciła się do ataku.

Zatrzymała się obok siostry.

— To nie jest przeciwnik. To dziecko. Jej dziecko.

— Jej cień — poprawił Discord z uśmiechem. — Ale cień nie znika, dopóki nie stanie się częścią światła.

Screwball nadal nie mówiła. Patrzyła na małą wersję siebie tak, jakby widziała ją po raz pierwszy... i ostatni.

Camel spojrzała na Discorda.

W jej oczach nie było już złości. Tylko ciekawość.

— A jak ci się podobało nasze ostatnie zagranie?

Discord poruszył brwiami.

— Hm?

— Ten rezonans — powiedziała Camel. — Chaos z chaosu. Nie harmonia. Nie sztuczka. Prawdziwa synchronizacja. Bez masek. Bez iluzji. Siostry.

Screwball powoli uniosła wzrok.

— Zmiotł twoją planszę, tato. I to nie był atak. To było... zrozumienie.

Discord milczał przez chwilę, aż w końcu... westchnął.

— Było piękne — powiedział. — I przerażające.

— Bo nie da się nim sterować — dodała Screwball cicho.

— Bo nie ja je stworzyłem — odparł Discord. — A przynajmniej... nie sam.

Camel uśmiechnęła się półgębkiem.

— Dobrze, że to pamiętasz. Bo zamierzamy to zrobić znowu.

— Z tą planszą — dodała Screwball, już pewna.

— I z każdą następną, jaką nam rzucisz.

Discord spojrzał na nie — naprawdę spojrzał, nie teatralnie.

A potem jego uśmiech... stał się smutny.

— Wiem.

Przestrzeń wokół nich znów zadrżała, ale tym razem... cicho. Jak oddech przed decyzją.

Mała Screwball uniosła kopytko, jakby chciała coś powiedzieć.

I właśnie wtedy... zapadła cisza.

Następna tura miała się zaraz rozpocząć.

Cisza pęczniała jak bańka. Jakby plansza — ta ciepła, piaskowa, niewinna — wiedziała, że coś się zaraz wydarzy.

Mała Screwball znów uniosła kopytko. I tym razem... coś się w niej zmieniło.

Jej oczy nie były już tylko odbiciem dziecięcej ufności. Drgnęły. Zakręciły się w nich spiralne refleksy.

Echo chaosu zadrgało.

A wtedy Discord znów przemówił — łagodnie, niemal czule:

— Nie bój się, córeczko. To tylko gra. Możesz wykonać ruch, który już znasz... Taki, który robiłaś tysiące razy.

Mała Screwball spojrzała na swoje kopytko... a potem na starszą siebie. I przez moment zawahała się.

— Przecież tylko się bawisz... — szeptał Discord, jakby tylko jej. — Tak, jak wtedy. Pamiętasz?

Piasek pod jej nogami zawirował. Pojawiły się kredki, kręgle, wirujące lalki. Ale nie były zabawkami — były zaklęciami. Przypomnianymi odruchami. Narzędziami chaosu.

Camel i Screwball patrzyły, jak dziewczynka staje się nośnikiem starej magii — tej, której sama Screwball już nie używała.

— Ona nie rozumie, co robi — wyszeptała Camel, lekko napinając skrzydła.

— Ale ktoś rozumie za nią — dodała Screwball cicho. — On.

Discord pochylił się lekko w ich stronę. Nie zbliżał się fizycznie — ale coś w nim było bliżej niż wcześniej. Bardziej... osobiste.

— To tylko test. — Jego głos był jak dźwięk starej pozytywki. — Sprawdźmy, czy z waszego rezonansu nie została tylko melodia.

Mała Screwball zamknęła oczy — i wtedy wypowiedziała pierwsze słowo zaklęcia.

To było jedno z tych, które znała tylko ona.

Starsza Screwball zbladła.

— To nie gra. To zakłęcie inicjacyjne.

Camel przełknęła ślinę.

— Czyli?

— Jeśli je dokończy... przejmie planszę.

— I wtedy?

Screwball spojrzała na nią. I po raz pierwszy od długiego czasu... naprawdę się przestraszyła.

— I wtedy już nie będzie echa.

Będzie... ja.

Ta sprzed wszystkiego.

Screwball patrzyła na dziecko — na siebie — jakby widziała zjawę. Zakłęcie już płynęło, słowo za słowem, kręcąc wokół małej spiralnej fali, które coraz mocniej zniekształcały świat.

Camel nachyliła się do siostry, jej głos był cichy, ale napięty jak struna:

— Czyli... to jest ta Screwball?

Jej spojrzenie było pełne czegoś gorzkiego.

— Ta, która tak ochoczo bawiła się z umysłem Bitsi? — zapytała cicho. — Ta, co śmiała się, gdy druga dziewczynka traciła grunt pod kopytkami?

Screwball nie drgnęła, ale jej oczy pociemniały.

Camel mówiła dalej — bez złości, ale z prawdą, której nie dało się już zbyć:

— Ta, co weszła w jej rytm... zbyt głęboko? Która chciała się z nią stopić... aż do końca?

Głos Camel zadrżał — ale nie ze słabości.

— Jak ja... kiedy mi odbiło. Kiedy chciałam poczuć wszystko, co czuje Bitsi. I... się tym zadławiłam.

Screwball odwróciła wzrok.

Ale nie zaprzeczyła.

— To była ta ja — powiedziała po chwili. — Ta... co myślała, że chaos to bliskość bez granic. Że „razem” znaczy „wewnątrz”. Że jeśli kogoś kochasz... to masz prawo wejść do środka i zostać.

Camel nie odsunęła się. Tylko westchnęła cicho.

— Ale już nią nie jesteś.

— Nie — przyznała Screwball, patrząc znów na dziecko, które kończyło właśnie ostatnią frazę zaklęcia.

— Więc... co zrobimy, siostró?

Screwball wyprostowała się.

Na jej twarzy nie było już lęku.

Tylko świadomość.

— Nie zatrzymamy jej zaklęcia — powiedziała spokojnie. — Ale możemy... zatańczyć z nim.

Camel uniosła brew.

— Rezonans?

Screwball uśmiechnęła się, lekko, prawie smutno.

— Dokładnie. Chaos nie znosi dwóch równoległych rytmów. Jeśli wprowadzimy swój — tak głęboki, tak spójny jak tamten...

Camel skinęła głową.

— ...to może go... zakłócić. Nie zniszczyć. Ale nastroić na nowo.

Ich spojrzenia spotkały się.

A potem – obie, jednocześnie – zrobiły pierwszy krok.

W rytmie, który znały tylko one.

Mała Screwball kończyła zaklęcie z dziecięcą radością — z rozkoszą tworzenia, która nie знаła granic, ani hamulców. Słowa wiły się wokół niej jak żywe spirale, każda świeciła innym kolorem, a ostatnia — ta, która kończyła frazę — była czysta. Aż zbyt czysta. Przejrzysta jak lza, która nigdy nie spadała.

Camel poczuła to pierwsza.

W jej kopytkach narastał rezonans, który jeszcze chwilę temu był darem. Teraz... nie był pewna.

Zatrzymała się krok przed dzieckiem.

Uniosła przednie kopytka.

I uderzyła nimi w ziemię.

Stuk.

Fala rozeszła się jak kręgi na wodzie — koncentryczne, głębokie, pulsujące. Dotarła do dziecka.

I...

Rozpadła się.

Jakby zderzyła się z czymś... niewinnym. Ale nie delikatnym.

Z czymś nieświadomie doskonałym.

Camel cofnęła się o pół kroku.

— Co... na chaos... — wyszeptała.

Nie było odpowiedzi.

Bo zaklęcie dobiegło końca.

Na końcu spirali unosiła się już nie mała Screwball.

Tylko...

Dziewczynka.

Ludzka.

Nie w pełni, nie całkiem.

Jej skóra była jeszcze muśnięta magią, a oczy wciąż miały tęczówki jak kręgi w wodzie. Ale ręce — ludzkie. Ciało — dziewczęce. Grzywa Screwball zwężyła się w splątane loki, które znały zarówno ogrody Ponyville, jak i poduszki łóżka gdzieś... poza tym światem.

Stała.

I oddychała.

— Co się... — zaczęła. — ...stało?

Patrzyła na siebie, zdezorientowana.

— Gdzie ja...

Jej głos był inny. Nie chaosu. Nie iluzji.

Głos dziecka, które pamiętało.

Camel nie poruszyła się. Obserwowała z napięciem, jakby dotknęła starego instrumentu, który właśnie sam zaczął grać.

Screwball... również zamilkła.

To, co właśnie stało przed nimi, nie było tylko efektem zaklęcia.

To był powrót.

Dziewczynki.

Dawnej.

Z innego świata.

Screwball i Camel stały nieruchomo, jakby czas znów stanął. Nie z powodu magii — ale z powodu czegoś znacznie głębszego. Ze środka zaklęcia patrzyła na nie dziewczynka, a ich spojrzenia spotkały się ponad jej głową — długie, porażająco ciche.

Wreszcie Camel odzyskała głos.

— Screwball... — zaczęła powoli, jakby każde słowo musiała wyjąć spod warstwy niedopowiedzeń. — Nie mówiłaś mi, że... że byłaś człowiekiem.

Jej oczy były szerokie, miękkie, przepełnione czymś, co przypominało dziecięce zdumienie, ale było już czymś więcej. Nie niedowierzaniem. Nie lękiem. Ale... rozpoznaniem.

Screwball nie odwróciła wzroku.

Nie uśmiechnęła się. Nie próbowała obrócić tego w żart.

Zamiast tego... spuściła głowę.

— Nie mówiłam — przyznała cicho. — Bo wtedy jeszcze... nie pamiętałam. Nie do końca. Nie śmiałam.

Dziewczynka, która stała między nimi, powoli uniosła rękę, jakby chciała coś powiedzieć — ale wciąż nie miała słów. Jej oczy przesuwaly się raz na jedną klaczkę, raz na drugą. W jej

żrenicach błyszczała mgła snu — sen, z którego dopiero co się wynurzyła, ale który wciąż pachniał w niej miodem, wilgocią łąki, oddechem kogoś dawno zapomnianego.

Screwball zrobiła pół kroku do przodu.

— To była... bardzo dawna wersja mnie — powiedziała cicho, ale wyraźnie. — Którą tata... ukrył. Zmienił. Zakopał pod śmiechem, iluzją, magią.

— I teraz wróciła — dopowiedziała Camel niemal szeptem. — Sama.

Screwball spojrzała jej prosto w oczy.

— Tak. Bo już nie mam nic do ukrycia.

W trójkącie utworzonym przez ich ciała znów zadrgała przestrzeń.

Nie od zaklęcia.

Od pamięci.

Dziewczynka przełknęła ślinę. Głos, który wydobył się z jej gardła, był chropawy od długiego milczenia, a jednak natychmiast rozpoznawalny — nawet w innej barwie, nawet w ludzkich słowach.

— S-Screw...? — wyszeptała, jakby sprawdzała, czy to imię wciąż do kogoś pasuje. — Ja... szukałam cię. Tak długo...

Screwball zamarła. Kopytka same zaczęły drzeć, choć magia w niej była teraz spokojna jak zwierciadło wody.

Dziewczynka odetchnęła głębiej, powoli przypominając sobie własne ciało. Po chwili odezwała się znów, trochę pewniej:

— Nie pamiętam wszystkiego. Tylko... ogród. Zapach trawy. Kiedy trzymałaś moją rękę i mówiłaś, że... że nie muszę nigdy być sama.

Ten obraz uderzył w camelową aurę jak ciepła fala. Camel poczuła, jak jej róg mimowolnie rozjarza się bladym światłem — nie chaosem, nie harmonią, tylko odruchem współodczuwania.

Screwball zrobiła krok bliżej. Jej głos zadrżał, lecz był wyraźny:

— To był mój sen. Mój — i twój. Ale wtedy... nie wiedziałam, że to naprawdę *my*.

— To ja? — Dziewczynka dotknęła piersi, jakby próbowała sprawdzić, czy serce wciąż bije pod ludzką skórą. — Czy jestem...?

— Jesteś częścią mnie, której nie pozwoliłam istnieć — wyszeptała Screwball. — Ojciec... przykrył cię, żebym mogła być „czystym chaosem”. Ale ty przeżyłaś. I teraz wróciłaś.

Camel podsunęła się odruchowo tak, by złapać dziewczynkę za dłoń — w ten sam sposób, w jaki tamta ręka jeszcze chwilę temu trzymała serce wspomnienia. Różowo-fioletowa aura Camel otuliła obie delikatnym ciepłem.

— Jeśli jesteś jej częścią — powiedziała łagodnie — to jesteś też moją siostrą.

Dziewczynka uniosła wzrok: w jej oczach błysnęły łzy, ale i ulga, i jakieś trudne do nazwania zachwycenie.

— Czy... mogę zostać? — zapytała. — Nie w snach. Tutaj.

Screwball powoli skinęła głową, a w jej spojrzeniu po raz pierwszy nie było ani odrobiny wątpliwości.

— Tak. Jeśli wybierzesz, że tak. Tu nie chodzi o tatę. Ani o magię. Chodzi o ciebie.

Camel zerknęła na stojący z boku cień Discorda — jakby chciała się upewnić, czy ich słowa do niego dotarły. Cień nie zareagował drwiną ani ironią; poruszył się lekko, jak ktoś, kto pierwszy raz w życiu czegoś *śłucha*.

Dziewczynka – dawna Screwball – rozejrzała się po niebie, po nocnym Ponyville, po otwartej bramie do nowej planszy.

Potem znów spojrzała na dwie klaczki, które trzymały ją teraz pomiędzy sobą.

— Chcę spróbować. Ale... tylko razem.

Camel uśmiechnęła się szeroko.

— Jeden rytm.

Screwball dołączyła, dotykając czołem dziewczynki.

— Jeden oddech.

A echo Fluttershy, gdzieś bardzo głęboko, dokończyło w ich wspólnej pamięci:

— Jedno serce.

Wysoko nad Ponyville zapłonął subtelny, pulsujący krąg — nie eksplozja, lecz znak trzech splatających się linii. Chaos, przemiana i pamięć. Razem. I choć dalsza część gry Discorda dopiero czekała, pierwszy ruch należał już wyłącznie do nich.

Dziewczynka zniknęła. Nie wyparowała jak cień, nie pękła jak bańka. Po prostu... zamknęła oczy. A świat wokół, przez krótką chwilę, zdawał się drgać w tym samym rytmie, który kiedyś połączył je w śnie.

Camel stała nieruchomo. Oddychała wolno, jakby nie chciała przerwać tego drżenia powietrza.

— Screwball... — odezwała się w końcu, z wysiłkiem, patrząc na siostrę z mieszaniną zrozumienia i bólu. — Nie mówiłaś mi... że byłaś człowiekiem.

Screwball milczała. W jej oczach wciąż tańczyły odblaski wspomnienia — ogród, chmury, dotyk dłoni. Ale nie zaprzeczyła. Nie próbowała się tłumaczyć.

Camel zrobiła krok bliżej. W jej głosie nie było oskarżenia.

— Myślałam, że wszystko zaczęło się od... tej gry. Że wtedy pierwszy raz mnie spotkałaś. Że mnie wciągnęłaś.

Przełknęła ślinę.

— Ale prawda jest taka... że już mnie znałaś. Już kiedyś tam byłam. W twoim śnie. W twoim sercu.

Screwball uniosła lekko głowę. W ciszy słysząc było tylko szum magicznego wiatru i bicie dwóch serc, które znów się zbliżały.

— A może to nie był tylko twój sen — dodała Camel cicho. — Może... to był nasz.

Zawisło milczenie. Zbyt kruche, by je nazwać spokojem. Ale zbyt głębokie, by je przerwać.

— I wiesz co? — Camel odetchnęła. — Może właśnie dlatego... nie udało ci się mnie wtedy złamać. Bo gdzieś głęboko... już znałam rytm twojego serca. I ono znało moje.

Screwball drgnęła. Zadrżała lekko, jakby coś w niej pękło. Ale nie rozpadło się. Przeciwnie — wyłoniło się z niej coś starego. Coś zapomnianego. Dziewczynka z ogrodu. Nie zniszczona. Ukryta. Przetrwiała.

— To nie był plan Discorda — szepnęła. — To była moja samotność. Wołałam, a ty przyszedłeś.

Camel skinęła głową.

— Dlatego dziś... już mnie nie wciągasz. Tylko stajesz obok. I to jest silniejsze niż każda pułapka.

Uśmiechnęła się blado.

— Synchronizacja. Nie dominacja.

Screwball zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, widać w nich było łzy. Ale też światło.

— Jeden rytm...

— Jeden oddech — odpowiedziała Camel.

— Jedno serce — dokończyły razem.

I choć świat jeszcze się nie domknął, coś w tej chwili zyskało nowy fundament.

Nie z chaosu.

Nie z harmonii.

Z więzi.

Rozdział XIV: W cieniu początku

Wysoko nad Ponyville, świat był cichy.

Ale nie był spokojny.

Dwie klaczki stały ramię w ramię, patrząc w stronę nowej planszy. Zebrały się chmury, nie z deszczu — lecz z pamięci. Zmieszanej, pękniętej, ale wciąż żywej. I to w niej, nie w świetle, kryło się prawdziwe pytanie.

— Screwball... — odezwała się Camel cicho, bez lęku. — A jeśli my... nigdy nie byliśmy po tej samej stronie?

Spojrzała na siostrę. Tamta nie zaprzeczyła. Jej oczy rozjarzyły się na moment chaotycznym pulsowaniem, jakby zapłonął w nich cień dawnego ognia.

— A może po prostu... nie było żadnej „strony”? — odpowiedziała Screwball. — Tylko echo wyborów, które inni podejmowali za nas.

Camel nie odpowiedziała od razu. Jej serce wciąż biło niespokojnie — zbyt ludzkie, zbyt gorące, zbyt... świadome. Zbyt bliskie tamtej chwili, gdy sama próbowała przejąć kontrolę nad emocjami Bitsi. Zbyt świeża była pamięć o tym, jak się wtedy zadławiła.

— Ja też chciałam dominować — powiedziała po chwili. — Nie przez chaos. Przez litość. Przez to, że chciałam ją zrozumieć lepiej niż ona siebie samą.

Zamilkły. Gdzieś daleko zaszumiała przestrzeń. Przypomnienie, że nie są same. Że gra jeszcze się toczy.

— I wtedy ty musiałaś mnie powstrzymać... — dodała Camel. — Tak, jak ja potem ciebie.

Screwball przymknęła powieki.

— Czy to czyni nas złymi?

— Nie — odparła Camel. — Ale czyni nas... prawdziwymi.

Wtedy coś się zmieniło. Nie na zewnątrz, lecz w nich. Nie jak wybuch, nie jak krzyk. Jak decyzja. Jak myśl, która wreszcie przestaje uciekać.

— Może dlatego tata wybrał nas do gry — dodała Screwball. — Bo wiedział, że tylko dzieci naprawdę rozumieją, czym jest chaos.

Camel spojrzała w dal. Zebra, gryf, sen i wspomnienie — wszystko było tam. Wszystko wciąż mogło się zdarzyć.

Ale zanim przejdziemy dalej, musimy sięgnąć głębiej — do momentu, gdy gra się rozpoczęła. Do pierwszego ataku. Do tego, co ukryte.

W cisy ogrodu, gdzie powietrze pachniało przeszłością, dwie klaczki siedziały obok siebie. Camel, z ogonem lekko podwiniętym pod siebie, miała wzrok wbity w ziemię. Jej kopytko rysowało niewidzialne linie w trawie.

Screwball, pozornie spokojna, siedziała nieco wyżej — jakby balansowała między rozbawieniem a czuwaniem. Ale nie śmiała się. Nie tym razem.

Camel przerwała ciszę pierwsza.

— Czy to... wszystko zaczęło się naprawdę wtedy? Na festiwalu? — zapytała cicho. — Gdy rozdzielił nas... i przebrał za dzieci, które mieliśmy udawać?

Screwball spojrzała w bok, nie odpowiadając od razu.

— Pamiętasz tamten dźwięk? — ciągnęła Camel, już trochę mocniej. — Ten rytm, który nagle stawał się kołysanką? Ja go pamiętam... nie jako coś złego. Tylko jako coś znajomego. Czułego. Jakbym wracała do czegoś... czego nie chciałam opuścić.

— Tak właśnie działał — powiedziała Screwball. — Nie narzucał siłą. On... przypominał. Zasiewał głód.

Camel uniosła głowę.

— A jeśli... to nie był tylko jego rytm? Jeśli to coś we mnie już tam było? Skąd wzięło się to pragnienie, Screwball? Ta gotowość, by oddać się chaosowi. Pamiętasz? Ja... pożerałam emocje Bitsi. Sama się śmiałam. Byłam... szczęśliwa.

— Bo chaos nie musi być tylko złem — odparła Screwball z nutą bólu. — Dopiero gdy przestajesz czuć... wtedy stajesz się ślepy. A ja... przestałam czuć bardzo dawno temu.

Camel spojrzała na nią długo. W jej oczach nie było oskarżenia. Tylko zrozumienie — i lęk.

— A jeśli człowieczeństwo... też nie jest czyste? Jeśli ono też nosi w sobie zarodki zła? Przecież... to, co mnie uczyniło taką... nie przyszło tylko z zewnątrz. Ja chciałam być silna.

Chciałam czuć moc. Ja... rzuciłam ci wyzwanie, bo widziałam w tobie kogoś, kto się boi być sobą.

Screwball zamknęła oczy. Jej spiralkowe źrenice zwolniły na moment.

— Tak. Bałam się. Bo jeśli przyznam, kim jestem... muszę przyznać, co zrobiłam. Ile dzieci wprowadziłam w iluzję. Ile snów zmieniałam w klatki. Ile... małych serc przestało bić po swojemu.

— A jednak jesteśmy tutaj — szepnęła Camel. — Obie. W tym ogrodzie, który kiedyś był więzieniem. I pytam cię, Screwball...

Podniosła głowę wyżej. Jej grzywa drgnęła na wietrze.

— Czy jest coś pomiędzy? Między byciem ofiarą... a byciem potworem? Czy można być czymś... co ma chaos w sobie, ale nie jest jego sługą?

Screwball drgnęła. Odwróciła wzrok. Jej róg zabłysnął, ale nic nie wyczarowała.

— Ja... nie wiem. Ale jeśli to pytanie zadaje ktoś, kto był gotów pożreć najbliższą sobie istotę... i potem się cofnął...

Camel zamknęła oczy. Wypuściła powietrze powoli.

— ...to może to znaczy, że nie jesteśmy przegrane?

Przez chwilę żadna z nich się nie odezwała.

A potem, cicho, z jakiegoś miejsca w tle... rozbrzmiał znajomy rytm. Tylko że tym razem nie był to rytm Diskorda. To było echo starej melodii — tej z festiwalu. Ale brzmiało inaczej.

Jakby... ktoś inny śnił ten sen. Ktoś, kto jeszcze nie podjął decyzji.

Camel nie spała.

Od kiedy skinęła głową Discordowi, godziny przestały płynąć. Czas nie miał znaczenia. Leżała w ciemności, na miękkiej poduszce z waty cukrowej, a mimo to czuła pod sobą kamień.

Nie fizycznie — nie, to było coś innego. Ciężar, który nie odchodził, który zagnieździł się pod skórą, w gardle, tam, gdzie kiedyś była ufność.

Nie wiedziała, kiedy Screwball przyszła. Może w ogóle nie odchodziła. Może była tam cały czas — zawieszona gdzieś w cieniu, między śmiechem a szeptem, przesiąknięta chaosem, który nie śmierdział już watą cukrową, tylko czymś... głębszym. Starszym.

— Nie odezwałaś się, kiedy Diskord cię chwalił — powiedziała Camel cicho, nie otwierając oczu.

Screwball usiadła. Bez dźwięku. Tylko echo miękkiego stuknięcia kopytka o dywan z pianki zdradziło jej obecność.

— Nie miałam za co — odparła. I przez chwilę nic więcej nie mówiła.

Camel otworzyła oczy. Patrzyła w górę — sufit wirował jak niebo po zbyt wielu obrotach. Czuła się, jakby nadal była kręcona przez czyjeś łapy. Czyjeś zbyt pewne łapy.

— On chciał, żebyś mnie zabrała — powiedziała. — Ale ty wtedy... tylko patrzyłaś. A potem uciekłaś.

Screwball milczała.

— Bitsi mówiła mi o tym, co jej zrobiłaś. O tym... smoczku. — Camel odwróciła głowę. — Powiedziała, że go czuła. Że to było tak, jakbyś go naprawdę trzymała w jej buzi, choć była daleko.

— Bo go trzymałam — przerwała Screwball. — W pewnym sensie.

Camel poczuła, jak coś w niej zadrżało.

— To było okrutne.

— To było skuteczne.

— Ale nie zadziało.

Cisza.

Screwball w końcu westchnęła — i w tym westchnieniu było coś więcej niż znużenie. Było zmęczenie.

— Nie miałam wyboru. On mnie stworzył do tego. Jestem jego córką. — Głos Screwball był pusty. Nie zbolaty. Pusty.

— Ale ssanie tego smoczka... — Camel wstała, choć nogi się trzęsły. — To nie była tylko rozkaz. Ty się tym bawiłaś.

Screwball odwróciła głowę.

— Bawiłam się tobą, Camel? Czy nią?

— Nią. I to właśnie było najgorsze. — Camel podeszła bliżej. — Bo to był jej smoczek. Jej oddech. Jej strach. A ty... ty udawałaś, że jesteś kimś, kto daje ukojenie. Ale to było złudzenie.

— W tym cały ja — szepnęła Screwball. — Chaos to złudzenie.

Camel nie zatrzymała się.

— Ale ty nie jesteś tylko chaosem. Bo gdybyś była... nie drżałabyś wtedy, gdy patrzyłam ci w oczy.

Zapadło milczenie. Długie. A potem...

— Ja też kiedyś miałam smoczek — powiedziała Screwball. — Gdy byłam jeszcze... kimś innym. Albo kimś jeszcze niezrobionym. W jego wersji mojego dzieciństwa, ten smoczek był zawsze różowy. Miał kształt serca. I zawsze pachniał... czymś ciepłym.

— Mlekiem?

— Nie. Przywiązaniem.

Camel zadrżała.

— Dlaczego go użyłaś przeciwko niej?

Screwball podniosła wzrok. Jej oczy błyszczały. Nie z magii. Z czegoś innego.

— Bo wiedziałam, że zadziała. Bo to nie był zwykły smoczek. To był... ślad. Pamięć. Jak klucz do jej emocji.

— Ale ty go ssłaś.

— Bo chciałam poczuć, co ona czuła. Bo chciałam... zrozumieć. I może... może trochę też... być z nią.

— Torturując ją?

Screwball opuściła głowę.

— Nie umiem inaczej. On nie nauczył mnie miłości. On mnie tylko sklejał z fragmentów strachu, potrzeby i łakomstwa na bliskość.

Camel szeptała już niemal przez łzy:

— A ona... Bitsi... powiedziała, że przez chwilę poczuła coś jeszcze. Że przez smoczek przeszła myśl. Ciepła. Krótka. Ale nie od niej. Od ciebie.

Screwball nic nie odpowiedziała.

Camel podeszła i dotknęła jej kopytka.

— Ty już wtedy się zmieniałaś, prawda?

Screwball spojrzała na nią z ukosa. I tym razem... nie zaprzeczyła.

Cisza. Ale nie ta bezpieczna, jak w ogrodzie. Cisza jak napięta struna, która lada moment może pęknąć. Camel patrzyła na Screwball długo. Zbyt długo.

— Wiedziałam... że to się kiedyś pojawi — zaczęła cicho Camel, nie spuszczając z niej wzroku. — Wspomnienie. Nie moje. Ale wystarczyło, żeby poczuć, jakby mnie to dotyczyło.

Screwball nie odpowiedziała od razu. Siedziała spokojnie, lekko pochylona, jakby próbowała zapanować nad chaosem wewnątrz siebie, zanim ten znów wymknie się spod kontroli.

— Bitsi opowiedziała mi wszystko — ciągnęła Camel. — Smoczek. Rytm. To, jak bawiłaś się jej zmysłami. To nie było tylko „działanie ojca”.

— To był jego rozkaz — przerwała Screwball. Głos miała twardy, ale nie zimny. — I byłabym go wykonała. Do końca. Gdybym nie zobaczyła w niej... siebie.

Camel prychnęła cicho, z ironią.

— Siebie? W Bitsi? — Wstała. — To dziwne. Bo ona mówiła, że czuła się... pożerana. A ty? Ty miałaś na twarzy uśmiech.

Screwball podniosła głowę.

— Nie dlatego, że ją nienawidziłam — powiedziała powoli. — Tylko dlatego, że mnie przerażała. Wiesz, co czułam, kiedy poczułam jej serce bijące z moim? Że to koniec. Że jeśli pozwolę, ona mnie zmieni. Że już nigdy nie będę jego córką.

— Ale przecież o to chodziło! — krzyknęła Camel, robiąc krok do przodu. — Przestać być narzędziem! Zamiast tego... uśpiłaś ją. I Sandrę. Tylko po to, żeby zaatakować mnie!

— To nie był atak! — ryknęła Screwball, wstając nagle. — Obiecałam, że nie skrzywdzę Bitsi. I dotrzymałam tej obietnicy! Uśpienie... było ochroną. Przed tym, co musiałam zrobić.

— Czyli ja byłam tą, której wolno skrzywdzić?

Screwball zamilkła.

Camel odwróciła się. Cisza znów napięła się jak żyłka.

— Nie chodzi o to, że ci nie wierzę — powiedziała w końcu Camel, bardziej do przestrzeni niż do niej. — Chodzi o to, że zbyt długo nie chciałaś przyznać, kim jesteś. A kiedy wreszcie to zrobiłaś, było już za późno.

Screwball wzięła głęboki wdech.

— Może... nie za późno — powiedziała cicho. — Może właśnie teraz jesteśmy w czasie.

Camel spojrzała przez ramię.

— Pokaż mi to. Pokaż, że już nie jesteś tylko cieniem jego rozkazu. Pokaż, że jesteś moją siostrą. I że potrafisz coś wybrać sama, Screwball.

W ciszy rozległ się jeden, głęboki oddech. Potem drugi. Jak echo tamtego rytmu.

Rozdział XV: Próbką Chaosu

Chmury pod ich kopytkami wciąż były ciepłe od poprzedniego rezonansu. Magia chaosu drgała jeszcze w powietrzu niczym rozżarzony drut. Ale między klaczkami zapadła cisza. Cisza, która mówiła więcej niż słowa.

Camel zrobiła krok do tyłu.

Screwball zmrużyła oczy.

— Co robisz? — zapytała cicho.

Camel nie odpowiedziała. Wzięła głęboki wdech. Jej róg rozbłysł, ale nie wystrzeliła promienia. Jeszcze nie. Tylko uniosła głowę — jak wojowniczką, która chce sprawdzić, czy przeciwnik wciąż sięga po broń, nawet po zakończonej bitwie.

— Muszę wiedzieć, że nie wrócisz — powiedziała w końcu. — Że nie pozwolisz mu znów prowadzić siebie jak marionetkę. Nawet jeśli to będzie oznaczać... walkę ze mną.

Screwball nie drgnęła.

— Myślisz, że nadal jestem jego?

Camel uniosła kopytko.

— Nie myślę. Ale chcę poczuć. Bo wcześniej też tak mówiłaś... a potem uśpiłaś Bitsi i Sandrę.

Zaiskrzyła między nimi przestrzeń. Nie agresja — napięcie. Jak struny, które ktoś przeciął i znów próbuje związać.

— Obiecałam, że nie skrzywdzę — powiedziała Screwball. — I dotrzymałam. Bitsi śpi... ale nadal śni o sobie. Jest wolna.

— A co jeśli teraz bym cię zaatakowała? — syknęła Camel. — Co jeśli w tej jednej chwili... zechciałabyś wrócić?

Nie czekając na odpowiedź, uderzyła kopytem w chmurę. Powstała fala — nie magia, lecz impuls. Krąg światła poszedł jak fala przez jezioro. Screwball nie odskoczyła. Fala rozbiła się o nią i... zniknęła.

Nic się nie stało.

Camel westchnęła. Przez zęby.

— No dalej. Zrób coś. Zareaguj. Udowodnij mi, że jesteś sobą, a nie cieniem jego głosu.

Screwball patrzyła na nią długo. I w końcu... zamrugnęła.

A potem, powoli, sięgnęła do środka siebie. Tam, gdzie chaos nie był już potworem, ale częścią jej ciała. Fala energii zaczęła ją otaczać jak wirująca woda. Nie była to agresja. To było... otwarcie.

— Jeśli musisz walczyć, by mi zaufać... to zrób to.

— Nie chcę walczyć — syknęła Camel, ale jej róg znów zadrżał. — Chcę wiedzieć.

— Więc sprawdź. Sprawdź, ile jeszcze we mnie cienia. Sprawdź, ile światła się w nim ukryło. Sprawdź, czy to ja.

Camel zacisnęła zęby. Potem... ruszyła.

Ich kopytka zderzyły się w powietrzu. Nie jak przeciwniczek. Jak lustra.

Eksploracja dźwięku, iskier i fal.

Ale nie było bólu.

Było... zrozumienie.

Camel poczuła. Że Screwball nie atakuje. Że nie stawia oporu. Że przyjmuje jej chaos. I oddaje jej swój.

Jak w dawnym rytmie. Jak kiedyś, gdy siedziały razem na granicy jawy i snu.

Obie się zatrzymały. Serce Camel biło jak oszalałe. Ale jej oczy już nie szukały zagrożenia.

— W porządku... — wyszeptała w końcu. — Już wiem.

Screwball nie odpowiedziała.

Ale jej uśmiech był spokojny. Taki, który noszą tylko ci, którzy przeszli przez burzę... i nie zgubili siebie.

Świat wokół nich nie był już niestabilny. Wciąż tańczyły w nim echo energii, które mogłyby zniszczyć połowę Equestrii — ale teraz drgały jak struny, nie jak burze.

Camel i Screwball siedziały naprzeciwko siebie na pękniętej platformie chmur. Gdzieś pod nimi, bardzo daleko, istniał jeszcze Ponyville. Ale tutaj... nie było już żadnych granic. Ani fizycznych, ani logicznych.

Camel wciąż miała lekko rozchylone skrzydła. Ogień, który płonął w niej podczas próby, nie zgasł. Ale też nie parzył. To był ogień świadomy.

— Więc... — odezwała się pierwsza. — Zaczniemy mówić prawdę?

Screwball spojrzała na nią z ukosa. Jej oczy nie miały już tego samego rozbłysku, co wcześniej. Teraz... patrzyły jak oczy kogoś, kto pamięta.

— Prawdę, która boli? Czy prawdę, którą chcemy usłyszeć?

Camel uśmiechnęła się krzywo.

— Nie ma różnicy. Chaos nie zna filtra.

Zapanowała chwila milczenia. A potem Camel wzięła oddech, głęboki i świadomy.

— Myślałaś, że jesteś inna. Że jesteś... poza światem, poza odpowiedzialnością. Córką chaosu, ale tylko w formie. A ja... myślałam, że jestem człowiekiem, który wpadł do bajki.

Screwball poruszyła się niespokojnie.

— Nie byłam gotowa przyznać, kim się stałam, kiedy cię skrzywdziłam. Albo kiedy próbowałam... zmienić Bitsi. Przejąć ją.

Camel skinęła głową.

— I ja też nie. Też przecież próbowałam. Wciągnęłam się w jej emocje jak dziecko w sen. Zachłysnęłam się tym, że mogę poczuć wszystko. A potem... nie mogłam przestać. Zaczęłam ją pożerać.

Ich spojrzenia spotkały się. Nie było w nich już wrogości. Tylko rozpoznanie.

— Może dlatego tata nas wybrał — szepnęła Screwball. — Bo widział, że chaos to nie magia. To głód. Ruch. Chęć... dotknięcia czegoś, co nie należy do ciebie.

— I bycie sobą mimo tego. — Camel uzupełniła ciszę.

Znowu milczały, ale tym razem... z szacunku.

Screwball odezwała się po chwili, zaskakująco miękko:

— Myślisz, że zło to tylko jego вина? Że chaos oznacza zniszczenie... tylko dlatego, że on nas tego nauczył?

Camel pokręciła głową.

— Nie. Bo człowieczeństwo... też je niesie. Nie jestem kucykiem urodzonym z magii. Ale i tak... skrzywdziłam siostrę. To nie rasa, nie magia, nie baśń.

— To wybór — dokończyła Screwball. — Zawsze był.

I właśnie dlatego, w tej jednej chwili, były do siebie bardziej podobne niż kiedykolwiek wcześniej.

„Ten taniec był o mnie, siostro”

Między nimi nie było już iluzji.

Trawa pod ich kopytkami drżała od niedomkniętych bram chaosu, ale świat nie rozpadł się jeszcze całkiem. Wokół nich kręciły się wiry barw, echa przeszłości... a pośrodku — one dwie. Camel i Screwball.

Camel zbliżyła się bez słowa.

I zanim Screwball zdążyła cofnąć krok — ziemia zadrżała. Kopytka Camel uniosły się gwałtownie, zamaszystym ruchem okrążyła siostrę i jednym ruchem przyparła ją do podłoża.

Screwball padła na grzbiet, kopytka lekko zgięte, oczy rozszerzone z zaskoczenia.

Camel stała nad nią, ciężko dysząc. Jej przednie kopyta osiadły po obu stronach ciała Screwball, tak że była nad nią — całkowicie. Przyciskająca, ale nie brutalna. Jej cień zakrywał twarz siostry.

— Ty... nie powiedziałaś mi wszystkiego — wyszeptała Camel. — Tego, co naprawdę zrobiłaś.

Jej oczy rozżarzyły się od wewnątrz. W powietrzu między nimi zakręcił się wir obrazów — przetworzonych, wyrwanych z pamięci. Sala baletowa. Lustra. Białe światło. I dziewczynka — jeszcze nie klaczka — która tańczyła, a potem... została zatrzymana. Ruchami, rytmem, smoczkiem.

— To nie była Bitsi, siostro — powiedziała Camel twardo. — To byłem ja. To ja byłem wtedy na sali. Ty przyszłaś do mnie z tym rytmem. Z tą samą techniką. Z tym samym... uśmiechem.

Zawiesiła głos, a potem ściszyła go do szeptu:

— A ja... zatańczyłam. Jak głupia.

Screwball poruszyła się lekko pod jej ciężarem, ale nie próbowała się uwolnić. Jej oczy nie były już rozszerzone — były pełne wstydu. I cienia czegoś więcej.

— Myślałam, że jesteś... bajką. Pojawiłaś się jak coś z dziecięcego snu. I kiedy prowadziłaś ten rytm, ja... chciałam ci zaufać.

Camel pochyliła się niżej, aż ich pyski niemal się zetknęły.

— Gdybyś wtedy nie przyszła... — wyszeptała. — Może... nigdy nie miałabym kopytek. Może... nie słyszałabym podszeptów chaosu. Może nie musiałabym się uczyć, jak przestać pożerać emocje własnej siostry. Może... nie musiałabym cię testować, Screwball.

Kopytka Camel zadrżały, ale nie cofnęła się.

— To ty mnie wprowadziłaś w rytm. Ty nauczyłaś mnie chaosu. Ty... mnie zdradziłaś.

Cisza zawisła między nimi. A potem Camel dodała, niemal łagodnie:

— I wiesz co jest najgorsze?

Screwball nie odpowiedziała. Wstrzymała oddech.

— Że ja... cię rozumiem.

W tej chwili stało się coś nieoczekiwanego. Camel opadła na kolana. Nadal była nad siostrą, ale nie przygniatała jej już. Opadła miękko, jakby wypuszczając z siebie cały ciężar.

— Rozumiem... bo ja też to zrobiłam Bitsi — powiedziała. — Ja też... chciałam sięgnąć głębiej. Poczuć moc. Zanurzyć się w jej emocjach tak bardzo, aż przestanie być sobą.

Jej głos się załamał.

— Może... to właśnie jest w nas obie. Ten chaos. Nie od ojca. Nie od matki. Ale z tego, co między.

Spojrzała prosto w oczy Screwball.

— Ale ja... nie pozwolę, żeby to nas połamało.

Rozdział XVI: Echo Dziedzictwa

Wnętrze Ogrodu Posągów. Wciąż pulsują cienie wspomnień. Screwball, jeszcze leżąca na ziemi po wcześniejszej konfrontacji, podnosi głowę, gdy nad nią zadrga cień. To Camel. Stoi pewnie, z głową spuszczoną nisko, a jej kopytko delikatnie kreśli linię w ziemi, jakby zarysowując granicę.

— Pamiętasz... jak mnie tam zaciągnęłaś? — zapytała cicho Camel, nie patrząc jeszcze na siostrę. — Do tej sali. Do niego. Powiedziałaś, że to tylko rytm. Że mam zatańczyć.

Jej głos zadrżał, ale nie ze słabości. To był dźwięk przywracanej prawdy. Prawdy, którą ktoś próbował zatopić.

— Pamiętam jego oczy... kiedy mnie zobaczył. I twoje... kiedy spuściłaś wzrok. — Uniosła głowę. — Nie stawiałam oporu? Tak powiedziałaś. Ale nie dlatego, że nie mogłam. Tylko dlatego, że ci zaufałam.

Zrobiła krok. Jeszcze jeden. Stała tak, że Screwball leżała dokładnie między jej kopytkami, jej grzywa prawie dotykała brzucha Camel.

— Gdybyś mnie wtedy nie zabrała... gdybyś nie oddała mnie ojcu... nie miałabym kopyt przy pierwszym przebudzeniu. Nie miałabym szeptów chaosu pod czaszką. — Jej głos przycichł. — Nie musiałabym walczyć o resztki tego, kim byłam. Ty to zrobiłaś, Screwball. Ty otworzyłaś drzwi.

Screwball nie odzywa się przez dłuższą chwilę. Jej spiralne oczy drgają. Wciąga powietrze przez zaciśnięty pysk, który zadrgał od zawahania. A potem...

— Ja... wiem. — powiedziała wreszcie, jakby każde słowo było szarpnięciem cierni. — Patrzyłam, jak ojciec cię rozdziera. Jak przeszukuje twoje wspomnienia, szuka lęków... i nic nie zrobiłam. Bo bałam się, że jeśli przerwę, to będzie jeszcze gorzej. Dla nas wszystkich.

Przełknęła ślinę. Nie próbowała się podnieść spod kopyt siostry. Nie tym razem.

— Ale wiesz, kiedy pękłam naprawdę? Nie tam. Nie wtedy. — Spojrzała jej prosto w oczy. — Pękłam, gdy zobaczyłam cię zgaszoną. Gdy przestałaś walczyć. Gdy ojciec powiedział, że teraz jesteś gotowa, że jesteś jego. A ja... wtedy wysłałam wiadomość do Bitsi. Tylko ona mogła cię jeszcze usłyszeć.

Zamilkła. Chciała dodać coś jeszcze, ale nie potrafiła nazwać tej części siebie, która wtedy umarła. Tej, która po raz pierwszy odróżniła ból od chaosu.

Camel nie odchodzi. Nie odsuwa kopyta. Patrzy w dół — nie z pogardą, lecz jak ktoś, kto szuka odpowiedzi, choć boi się je znaleźć.

— Wiesz... myślałam, że to wszystko się zaczęło tam, w sali baletowej. Kiedy wszczepiłaś we mnie rytm. Kiedy stałam się częścią tej gry. Ale to nieprawda.

Wzrok jej błądzi gdzieś ponad grzywą Screwball.

— Bo potem zrozumiałam, że coś we mnie od zawsze drgało. Że jak tylko dotknęła mnie pierwsza fala chaosu... nie odrzuciłam jej. Pozwoliłam jej wpłynąć do środka. Rozlać się po mnie jak ciepło.

Zamyka na moment oczy. Głos jej mięknie.

— Zaczęłam... smakować emocje innych. Ssanie strachu. Wdychanie cudzych wspomnień. Tak, jak ty bawiłaś się smoczkiem Bitsi, ja... prawie się nią stałam. Gdybym mogła, rozerwałabym ją od środka, żeby poczuć jeszcze więcej.

Otwiera oczy. Są pełne wstydu. I czegoś jeszcze: zdziwienia nad własną naturą.

— I wtedy zadałam sobie pytanie... które wraca co noc.

Nachyla się nieco. Cień jej pyska pada na Screwball.

— Czy to on mnie stworzył? Czy tylko uwolnił to, co już we mnie było?

Cisza między nimi gęstnieje. Trawa wokół wydaje się więdnąć. Niebo zadrgało.

— Może nie jesteśmy tylko ofiarami jego gry — wyszeptała Camel. — Może... jesteśmy jego dziedzictwem. Nośniczkami chaosu. Zbyt podobne do niego, by uciec. Ale zbyt świadome, by całkiem się poddać.

Jej głos nie był już oskarżeniem. Był pytaniem. Najtrudniejszym z możliwych.

— A jeśli chaos to... my?

Screwball milczała przez długą chwilę. Wciąż leżała na grzbiecie, z grzywą rozlaną jak cień tęczy, kopytkami lekko drżącymi — ale nie ze strachu. Z napięcia. Z czegoś, co nie chciało już zostać zamknięte.

Nagle uniosła przednie kopytka i — nie brutalnie, lecz pewnie — zepchnęła Camel z siebie jednym, prostym ruchem. Potem usiadła. Powoli. W milczeniu.

Spojrzała siostrze prosto w oczy.

— Tak — powiedziała cicho, ale bez wahania. — Jestem chaos.

Chmurka nad ich głowami rozpadła się na odłamki światła. Czas zadrżał.

— Od zawsze byłam. Nie tym błyszczącym, kolorowym chaosem z bajek. Tylko tym drugim. Tym, który przenika między myślami. Który wie, kiedy serce pęka, i zamiast je uleczyć... zagląda do środka.

Screwball zamrugła. Ale nie odwróciła wzroku.

— Gdy dostarczyłam cię ojcu... jeszcze tego nie wiedziałam. Jeszcze miałam nadzieję, że to tylko sen. Że kiedy się obudzisz, wciąż będziesz dziewczynką. A ja... wciąż tylko postacią z bajki.

Jej głos nie był pełen rozpacz. Był spokojny. Oczyszczony.

— Ale potem patrzyłam, jak on cię łamie. Jak grzebał w twojej głowie... jakby była szufladą pełną sekretów. Widziałam, jak się trzęsłaś. Jak cichłaś. Jak gasłaś.

Zacisnęła zęby. Kiedy mówiła dalej, jej głos był niższy.

— I wtedy coś pękło. Nie w ojcu. We mnie. Bo nagle zrozumiałam, że jeśli naprawdę jestem jego córką... to nie chcę być jego narzędziem. Nie po tym.

Screwball zrobiła krok do przodu. Stały teraz równo — klaczka i klaczka. Córka i córka.

— Chaos to nie tylko zniszczenie. To wybór. To pytanie: co zrobisz z mocą, która może pochłonąć świat?

I wtedy...

— Tak, jesteśmy jego dziedzictwem — powiedziała. — Ale to nie on nas stworzył. To my jesteśmy... echem tego, co odrzucił. Tą częścią chaosu, która jeszcze czuje. Która jeszcze pyta. Która... kocha.

Screwball westchnęła, zamykając na moment oczy.

— Bo może jesteśmy z chaosu. Ale nie jesteśmy dla niego.

— A więc siostrzyczko? Co robimy z tym, kim jesteśmy? — Spytała camel... Zbliżając się tak, że dotknęła nosa siostry, swoim... po czym jak gdyby nigdy nic... zaczęła robić jej "eskimoska", jak matka maluchowi. Delikatnie pocierając swój nosek o nosek siostry

— I co robimy z grą ojca? Kolejną planszą, jego pokręconego świata? Kiedyś, gdy pierwszy raz walczyliśmy, zadał pytanie... Która z nas zasiądzie na tronie absurdu... Jak myślisz? Tron będzie podwójny? Bo my dwie, jesteśmy jak absurd, czy ON jest jednak tym większym?

Screwball nie drgnęła, gdy nosek Camel dotknął jej własnego. A potem znów — i znów. Ciepło, miękko, jakby czas się cofnął, a świat zapomniał, że kiedyś istniała walka, zdrada i cisza między nimi.

Zaśmiała się cicho — pierwszy raz od dłuższego czasu. Nie wściekle. Nie szaleńczo. Jak siostra.

— "Eskimoski"? — spytała półszepem. — Naprawdę?

Camel nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko i trąciła ją jeszcze raz. Z tym samym rytmem, który łączył je tamtego pierwszego dnia — jeden oddech, jedno serce.

Screwball westchnęła i spojrzała w górę — nad nimi wciąż unosiło się rozedrgane niebo. Plansza Discorda wciąż trwała... ale jakby drżała, niepewna, czy ma jeszcze sens.

— Tron absurdu... — powtórzyła. — Pamiętam. On wtedy tak patrzył... Jakby nie chodziło o zabawę. Jakby szukał... następczyni. Albo... kogoś, kto wreszcie go zrozumie.

Odwróciła się z powrotem do Camel.

— Myślisz, że tron może być podwójny?

Zamyśliła się.

— Albo może... w ogóle nie ma tronu? Może właśnie to jest absurd — że nikt nie zasiada. Że gra trwa... tylko wtedy, gdy ktoś wierzy, że musi wygrać.

Zrobiła krok do przodu.

— A my? Może zamiast walczyć o miejsce... zbudujemy scenę?

Spojrzała na siostrę z uśmiechem, w którym była i iskra, i cień łzy.

— Wiesz... scena też może być miejscem chaosu. Ale takiego, który porusza. Takiego, który tańczy. Nie niszczy.

Zbliżyła się jeszcze bardziej i złożyła czoło na czoło Camel.

— Jesteśmy jego dziećmi. Ale jesteśmy też sobą. Absurd to nie jego tron. Absurd to... nasze siostrzane serce.

Niebo już się nie rozdzierało. Teraz — czekało.

Jak scena przed pierwszym aktem. Jak cisza przed wdechem.

Camel i Screwball stały obok siebie. Jeszcze przez moment się nie ruszały. Jakby chciały zamknąć w sobie to, co właśnie padło. Zatrzymać. Zachować. Nie zniszczyć przypadkiem ruchem.

Screwball spojrzała na siostrę kątem oka.

— Gotowa?

Camel skinęła. — A ty?

— Nie. Ale idę.

Ich kopytka dotknęły przestrzeni przed nimi — nie podłoża, bo ono jeszcze nie istniało. Ale fali, która zaczynała się tworzyć. Z zasłony światła, z drgającego powietrza.

Za nimi zostawał ogród wspomnień. Przebaczenie. Eskimoski. Serce.

Przed nimi: plansza.

Ale już nie jego.

Screwball zrobiła pierwszy krok. Nie rzuciła zaklęcia. Nie wygięła rzeczywistości. Po prostu... weszła.

Camel poszła za nią.

I wtedy świat zadrżał.

Niebo złożyło się w wir. Pola pękły kolorami, a przestrzeń ustąpiła pod nowym rytmem — rytmem ich obecności. Nie siły. Nie kontroli. Rytmem... wyboru.

Zebra, w oddali, uniosła łeb. Gryf zawisł w locie. Coś — ktoś — ruszył się w głębi planszy.

I głos. Ale nie jak dawniej.

Tym razem nie z góry. Nie wszechmocny.

Tym razem... z boku.

— O, moje dziewczynki.

Naprawdę chcecie zagrać... w to, co nie ma reguł?

Camel i Screwball spojrzały na siebie. Nie musiały odpowiadać.

One już grały.

Teraz... tworzą.

Rozdział XVII: Marionetka

Plansza była niemal zbyt jasna. Zbyt uporządkowana, jakby Discord chciał ją tym razem udawać.

Zielone wzgórza, ptaki na tle nieba, drzewa ustawione co do milimetra. Wszystko wyglądało jak bajka dla bardzo małych dzieci. Albo jak... wstępne renderowanie gry.

Camel zatrzymała się, jej wzrok przyciągnęło coś... zbyt znajomego.

Na środku polany, otoczonej pastelowymi kwiatkami i nadmuchanymi zabawkami, stała ona.

Dziewczynka.

A raczej coś, co kiedyś miało twarz Bitsi.

Oczy — martwe, szklane.

Ubranko — różowe body z zapięciem w kroku i wyhaftowanym na piersi „Własność Diskorda™”.

W ustach — smoczek. Fioletowy, pulsujący magicznie.

Na głowie — opaska z uszami króliczka.

Nie mówiła. Tylko się kołysała. I patrzyła.

A jej cień nie był cieniem — był pajęczyną poprzednich gier. Każdy jej krok zostawiał za sobą echo przeszłych porażek.

Screwball znieruchomiała.

Camel westchnęła i podeszła bliżej. Jednym kopytkiem stuknęła lekko w ziemię.

— No nie. To jeszcze żyje? — rzuciła z niechęcią.

„Bitsi” nie zareagowała.

Camel uniosła brew i spojrzała na siostrę.

— Serio? Te... klony z resztek emocji? Te rytmiczne zombie? On naprawdę się tym jeszcze bawi?

Screwball zmrużyła oczy.

— To chyba wersja, która miała zostać „idealnym dzieckiem chaosu” — mruknęła. — Pamiętasz? Ta, co nigdy nie płacze. Bo nie czuje.

Camel przekrzywiła głowę.

— To się bardzo zestarzało. — I splunęła obok, z pogardą. — Wiesz, co mnie bardziej przeraża? Że kiedyś naprawdę się tego bałam.

„Bitsi” poruszyła głową w bok, jak lalka na sprężynie.

Screwball cofnęła się pół kroku.

— A może... ona nas nie widzi. Może tylko powtarza zapis. Kolejną iluzję z archiwum ojca.

Camel spojrzała jej prosto w oczy.

— Albo... może ktoś patrzy przez nią.

Przez chwilę nie działo się nic.

A potem smoczek w buzi klona zamigotał — i w przestrzeni rozległ się szelest. Jakby coś właśnie zaczęło ładować nową wersję rozgrywki.

Klonka nadal się nie ruszała. Jedynie jej powieki co jakiś czas zamykały się i otwierały w identycznym rytmie, jakby zacięta w pętli. W jej ustach nadal tlił się pulsujący, fioletowy smoczek — jak wieczne źródło łagodnego znieczulenia.

— Patrz na to — powiedziała Camel, podchodząc od lewej. — To nie jest osoba. To głośnik.

— Raczej... ekran. — mruknęła Screwball, podchodząc z drugiej strony. — Albo pacynka. Wiesz, że ojciec zawsze lubił mówić przez zabawki.

Zamilkły.

I wtedy Camel zrobiła coś nieoczywistego — nie odepchnęła klona, nie zniszczyła.

Położyła delikatnie kopytko na jej klatce piersiowej.

— Chcę, żebyś mnie poczuła. — powiedziała cicho, nie do klona, ale... do czegoś za nim.

— Czujesz? Ten rytm? To nie ty nadajesz ton. My nadajemy.

Smoczek zamigotał mocniej.

Cień dziewczynki zadrżał.

I po chwili... rozszerzył się — jak ekran dotykowy, reagujący na obecność.

Screwball położyła kopytko na ramieniu klonki.

— Synchronizacja. — szepnęła. — Tak jak kiedyś... w ogrodzie snu.

— Jeden rytm. — Camel.

— Jeden oddech.

— Jedno serce.

W tym momencie coś w klonce pękło. Jej ciało zadrgało lekko — jakby zerwała się z niewidzialnych nici. A potem... oczy spojrzały prosto w nie.

Ale nie były już martwe.

Nie były też jej własne.

Były... czyjeś.

Jakby patrzyły przez nią nie dziesiątki dzieci z przeszłości, ale sam Discord. Albo to, co po nim zostało — jego echo, jego obserwacja.

Z wnętrza ciała klonki dobiegł głos. Ale nie z ust.

— Co wy robicie?...

— To nie wasz interfejs...

— On był mój...

Screwball nie odwróciła wzroku.

— Nie jest niczyj. Jest tylko zbudowany na krzywdzie. I to kończymy.

Camel wzięła głęboki wdech.

— Spróbuj, Discordzie. Spróbuj patrzeć przez nią. Bo teraz my patrzymy też przez ciebie.

Chwila ciszy.

I potem... obraz zaczął się zmieniać. Wokół nich — jakby plansza przestawała rozpoznawać właściciela. W kodzie zaczęły pojawiać się ich własne rytmy.

Screwball spojrzała z ukosa.

— Pomyśl tylko, Cam...

— Co jeśli użyjemy jego własnej technologii do rozbijania planszy?

— Smoczek jako brama.

— Klon jako wzmacniacz.

— Echo jego spojrzenia... jako nasza soczewka.

Camel uśmiechnęła się powoli.

— To może być... najpiękniejsza zdrada.

Klonka zadrżała, jakby cała jej struktura została poddana nowemu rozkazowi.

Ale nie był to rozkaz Discorda.

To Camel i Screwball połączyły swoje rytmy, swoje moce — swoje serca chaosu — i wysłały impuls, który przeciął przez fundamenty tego miejsca.

Smoczek, który pulsował światłem, zadrżał. Na moment przygasł.

A potem z wnętrza klonki popłynął sygnał.

Nie był głośny. Nie był efektowny. Ale był ostateczny.

„Zamknięcie planszy... potwierdzone.”

Plansza wokół nich — cała przestrzeń, którą Discord próbował kontrolować — zaczęła się zamykać, jak zwijający się pergamin. Linie kodu, iluzje, przestrzenne oszustwa... wszystko falowało, a potem zapadało się w siebie.

Klonka zaczęła się kurczyć — nie fizycznie, ale symbolicznie — jakby traciła funkcję. Stawała się tylko pustą powłoką.

Camel podeszła.

Spojrzała raz jeszcze na smoczek w jej ustach.

Fioletowy.

Z przebłyskami rytmu, który kiedyś należał do Bitsi. Do dzieciństwa. Do manipulacji.

Wyciągnęła go ostrożnie. A potem — jakby to było coś bardzo osobistego — włożyła go do własnego pyszczka.

Delikatnie. Z namysłem.

Zamknęła oczy.

Zassała raz.

Rytm przeszedł przez jej ciało.

Nie był już toksyczny. Nie był więzieniem.

Był... rezonansem. Jej własnym rytmem.

Ujarzmionym. Odzyskanym.

Screwball patrzyła bez słowa.

I po chwili... pokiwała głową.

— Smoczek w ustach klaczki chaosu... — powiedziała cicho. — Kto by pomyślał, że to będzie znak wyzwolenia.

Camel wyjęła smoczek. Otworzyła jedno oko.

— Taki znak, jaki sami sobie wybierzemy.

I wtedy wszystko się zatrzymało. Plansza — już bez kodu. Bez świateł. Bez gry.

Tylko one dwie — i ich decyzje.

Część III - „Na Własnych Zasadach”

Rozdział XVIII: Ich Świat

Camel zatrzymała się tuż przed bramą. Smoczek delikatnie poruszał się w jej pyszczku, połyskując dziwnym, zielonkawym światłem. Nie wyglądała już jak ofiara chaosu. Ani jak jego narzędzie. Ani nawet jak gracz.

Wyglądała jak autorka.

— A, nie widziałas jeszcze smoczka w moim pyszczku? — powiedziała z niepokojącym uśmiechem, który znała tylko jej siostra.

Odwróciła głowę, patrząc Screwball prosto w oczy.

— Ty też lubiłaś to uczucie... — dodała ciszej, z nutą nostalgii. — Choć, zazwyczaj używałyśmy ich, by komuś zaszkodzić. By związać się z czyimiś emocjami. Zakotwiczyć się. Złapać rytm serca i zawładnąć nim...

Kropla światła z końcówki smoczka opadła jak łza — dotknęła powietrza przed Camel i natychmiast rozplynęła się w strukturze rzeczywistości.

Nie ruszyła nawet kopytkiem. A jednak wszystko zaczęło się zmieniać.

Brama, dotąd złowieszcza, niestabilna, chaotyczna — drgała.

Jakby pytała: „kto ty jesteś?”

A ona odpowiadała... rytmem.

Smoczek zabłysł jaśniej. Z wnętrza Camel rozeszła się fala energii — nie niszcząca, lecz projektująca.

Fragmenty krajobrazu zaczęły układać się same. Jakby pamiętały, czego potrzebują. Jakby pamiętały dziewczynki.

Drzewa, które szeptały śmiechem z dzieciństwa.

Niebo z barwionym gradientem, jak w snach.

Miękka ziemia, która przyjmowała każde kopytko jak przyjaciel.

I echo — ciche echo wspomnień.

Nie było już „gry ojca”.

Nie było „planszy”.

Była tylko ich przestrzeń. Stworzona z wewnętrznej zgody, z rytmu dwóch serc chaosu, które nie chciały już być pionkami.

Screwball podeszła powoli.

— Widzisz? — szepnęła. — Kiedyś byliśmy tylko odbiciem jego kaprysów. Teraz... my rysujemy kontury.

Camel zassała raz jeszcze.

— I nikt nam nie powie, gdzie się kończymy, a gdzie zaczyna absurd.

Przeszły razem przez bramę.

Za nimi — stara plansza zwinęła się w pył.

Przed nimi — nowy świat, pulsujący rytmem ich decyzji.

Było cicho. Nie złowrogo — lecz jakby świat właśnie wziął głęboki oddech.

Camel jako pierwsza postawiła kopytko na nowej ziemi. Nie zadrżała. Pod nią nie było iluzji, nie było lepkiej magii ojca, żadnych oszustw. Tylko miękki grunt, pulsujący lekko... jakby sercem.

Screwball dołączyła, nieco wolniej — jakby nie dowierzała. Ale gdy jej podkowy dotknęły trawy, ta rozbłysła skrzącym się fioletem, który znały tylko one.

— Nieźle — mruknęła Screwball, schylając się do małego, krzywego kwiatka, który właśnie rozwinął się pod jej nosem. — Ta rzeczywistość ma niezły gust.

Camel zaśmiała się. Lekko. Naturalnie. Po raz pierwszy od... może zawsze.

— To nasze wspomnienia — powiedziała, wodząc wzrokiem po krajobrazie. — I nasze lęki. Przemieszane. Ale wreszcie... nie przeciwko nam.

W oddali drzewa miały liście z pociętych stron bajek, które kiedyś czytały w dwóch różnych światach. Wśród nich przemykały stworzenia, które wyglądały jak zabawki z dzieciństwa, ale z dodanym pazurem — absurdalnie słodkie i lekko niepokojące.

Nieopodal płynął potok, ale zamiast wody płynęła w nim masa bąbelków — jak z kąpieli, którą Bitsi lubiła, a Screwball nie rozumiała.

Camel wbiegła tam pierwsza.

— Patrz! — zawołała, wskakując do bąbelkowego potoku. — Wreszcie coś, co nie zmienia mnie bez pytania!

Screwball rzuciła się za nią i... przez chwilę — tylko chwilę — były znów jak żrebaki. Pluskały się, podskakiwały, bawiły jak dzieci, które nigdy nie dostały tego czasu.

A gdzieś daleko, za zasłoną rzeczywistości, ktoś patrzył.

Nie wkraczał.

Nie komentował.

Jeszcze.

Tylko... obserwował.

Nie Discord, jakiego znaly — nie w pełni. Ten cień był bardziej powściągliwy. Jakby coś w nim czekało. Jakby wiedział, że jeśli się zbliży, to ten świat go... odrzuci.

Zamiast tego — przemieszczał się po obrzeżach planszy, od czasu do czasu poruszając palcami, jakby próbował odnaleźć rytm.

Ale nie mógł.

Nie czuł już ich pulsu.

A one... czuły się wolne.

Camel wypluła smoczek — tylko na chwilę — i spojrzała w dal.

— Ciekawe, ile wytrzyma jako widz — mruknęła. — Zawsze wolał grać.

Screwball rozsiadła się na grzbiecie latającego ryby-świniaka, który sam się stworzył z ich śmiechu.

— To my teraz ustalamy, kiedy zacznie się nowa runda.

— I czy w ogóle ją dopuścimy — dodała Camel.

Po chwili ciszy — podniosła smoczek i spojrzała na siostrę.

— Chcesz rundkę w chowanego?

Screwball uśmiechnęła się.

— Tylko jeśli ty liczysz.

Camel zamknęła oczy.

— Raz...

— Dwa...

— Trzy...

Świat się nie zatrząsł.

Nie zgasło światło.

Nie pojawiły się reguły.

Tylko echo — śmiechu dwóch sióstr — które rozchodziło się po nowej rzeczywistości.

Takiej, jaką sobie stworzyły.

Screwball wbiegła za drzewo i rozejrzała się szybko — miejsce było idealne. Trochę paproci, trochę mgiełki, pachniało watą cukrową i... echem wspomnień z dziwnych bajek. Skuliła się cicho, gotowa do rundy w chowanego.

Ale gdy zrobiła krok — coś zachlupotało.

— Plask.

Screwball spojrzała w dół.

Pod kopytkiem — niewinna, różowawa kałuża. Trochę jak z rozpuszczonego żelka.

— O nie... — mruknęła, już czując, że coś jest nie tak.

I wtedy to się stało.

Zanim zdążyła mrugnąć, wokół jej ciała zmateriałizował się kombinezon do spania. Dziecinny. Puchaty. W pastelowych kolorach, z klipsem na smoczek, który natychmiast przysunął się do jej pyszczka, jakby czekał. Wzór na kombinezonie był jeszcze gorszy — tańczące postacie Discorda, jakby żywcem wyjęte z dziecięcych rysunków, uśmiechnięte szeroko i wykonujące idiotyczny taniec zwycięstwa.

Na jej kopytkach pojawiły się skarpetki z miękkimi dzwoneczkami.

— O NIE — jęknęła Screwball. — Nie, nie, nie, nie!

Zza drzewa wychyliła się Camel... i zamarła. Potem szeroko otworzyła oczy.

— Ooo... siostrzyczko... — zaczęła niewinnie, ale już trzęsła się ze śmiechu. Zakryła pyszczek kopytkiem. — Nie mów, że... ojciec wgrał cię jako oficjalną maskotkę chaosu niemowlęcego?

Screwball usiłowała zdjąć zaczep od smoczka, ale ten tylko się zaśmiał. Dosłownie.
— I jeszcze te skarpeteczki... — jęknęła Camel. — A może... — zawiesiła głos i wskazała dyskretnie na tyłek siostry — może powinnam ci... zmienić pieluszkę?

Screwball zamarła.

Z boku kombinezonu... znajdowały się napy.

— Nie waż się... — wysyczała Screwball, przewracając oczami.

Camel zrobiła krok do przodu, teatralnie.

— Ależ ktoś tu jest w pełni absorbującym trybie chaosu.

Screwball pacnęła ją poduszkowatą skarpetką.

— Zrobiłaś to ty! Albo plansza! Albo... — zawahała się. — Albo on. Zostawił pułapkę.

Camel się rozciągnęła, zadowolona, śmiejąc się półgębkiem.

— Albo... to coś z twojej podświadomości? Może... tęsknisz za erą smoczka?

— Wcale nie! — zawołała Screwball, ale smoczek sam z siebie wskoczył jej do pyszczka.
Zabrzmiął cichy klik.

Camel padła na ziemię, śmiejąc się w trawie.

— O NIE, TO BYŁ AUTOMATYCZNY TRYB UROCZKOWANIA!

Screwball rozciągnęła się, uniosła kopytką, niezdarnie próbując się wyprostować, ale każdy ruch tylko pogłębiał groteskę. Dzwoneczki dzwoniły, kombinezon lśnił. Plansza zareagowała — nie śmiechem... ale ciepłem. Jakby świat sam cieszył się z ich śmiechu.

Jakby nareszcie coś w tym świecie działało według ich rytmu — nawet jeśli było to komicznie absurdalne.

Gdzieś daleko, poza horyzontem, cień Discorda uniósł brew.

— A więc... taką wybrałyście rundę? — wymamrotał. — Cóż... może czas... pograć inaczej.

Rozdział XIX: Plansza Trzech

Screwball siedziała w trawie, nadal w dziecięcym kombinezonie, smoczek świecił bladym światłem między jej wargami. Nie próbowała już go wyjąć — nie z rezygnacji, ale dlatego, że coś zrozumiała.

Camel podeszła bliżej i przysiadła naprzeciwko, przechylając głowę.

— No i? — zapytała miękko. — Zamieniasz się w lalkę z zestawu „Mała Klaczka Chaosu”?

Screwball wyjęła smoczek z cichym klik i uniosła spojrzenie.

— To nie ja się przemieniam. To on próbował mnie przemienić. Ale zapomniał jednej rzeczy.

Camel uniosła brew.

— Że śmiesznie wyglądasz w pieluszcze?

Screwball uśmiechnęła się krzywo.

— Nie. Że ja już wiem, kim jestem. I to znaczy, że mogę to nosić... bez wstydu. Bo nie jestem jego pionkiem. Nawet jeśli czasem mnie ubiera jak maskotkę.

Camel zerknęła na zapięcie z tańczącymi podobiznami Discorda i pacnęła je kopytkiem.

— No to może czas... dodać trochę własnego stylu?

Jej róg błysnął lekko. Kombinezon Screwball... zmienił się. Pastelowe barwy zgasty, a wzór uległ zniekształceniu — tańczące Discordy zaczęły tańczyć na opak, krzyżując kopytka, potykając się o własny ogon. Z klipsa smoczka wyrosły symbole chaosu... ale już nie ojca. Ich własne.

Screwball roześmiała się.

— Teraz wygląda jak on... kiedy myśli, że wygrał.

— Albo jak jego ego, kiedy trafia w nasze pułapki.

Obie klaczki spojrzały na siebie — w ich oczach błyszczała ta sama iskra.

— Plansza już nie działa — stwierdziła Camel. — Próbował nas uwięzić w roli niemowląt. Lalki. Narzędzi.

— A dostał dwie klaczki, które potrafią zbudować chaos... od nowa — dokończyła Screwball. — Na naszych warunkach.

— W takim razie — powiedziała Camel, wyjmując z trawy kolorową kredkę, która pojawiła się nie wiadomo skąd — może czas narysować własną planszę?

Ziemia zadrżała.

Nie jak w trzęsieniu.

Jakby coś ogromnego... budziło się do życia.

Kolory planszy zaczęły się zmieniać. Nie za sprawą ojca. Nie przez sztuczki Discorda.

Przez siłę dwóch serc, które kiedyś były tylko ofiarami chaosu... a teraz go przejęły.

Zamiast błysku światła czy magicznego efektu — była tylko cisza. Jakby powietrze zadrżało i... przełknęło coś.

Z miękkiego zgięcia terenu — między dwoma pastelowymi wzgórzami pokrytymi chmurkami o smaku waty cukrowej — pojawiła się ona.

Mała klaczka. Róg lekko pulsował, jakby dopiero co został... przywrócony. Na grzbiecie miała delikatne żrebięce ubranko w kolorze lawendowym, z haftem w kształcie motyli. Na kopytkach — plastikowe różowe podkówki, zapinane na miękkie opaski. Brzęknęły cicho, gdy postawiła pierwszy krok.

— No pięknie. — mruknęła Bitsi z wyraźną irytacją, unosząc jedno ucho. — Czy naprawdę któraś z was znowu mnie tu ściągnęła?

Screwball odwróciła się z zaskoczonym wyrazem pyszczka, a Camel nawet nie podniosła głowy znad planszy — właśnie kończyła rysować coś fioletowego. Może... małego jednorożca z rumieńcem?

— Przed chwilą byłam dziewczynką. — Bitsi zmarszczyła nosek. — Normalnie rozmawiałam z Ulą. W moim świecie. Na dwóch nogach. A teraz...?

Zniżyła głos i stuknęła lekko różową podkówką o kamyk, który wydawał się... bardzo podejrzanie uśmiechnięty.

— Teraz mam kopytka, piżamkę i... czy to są zabawkowe podkówki?!

Camel wreszcie spojrzała na nią z cichym, ledwie skrywanym uśmiechem.

— Wiesz... pasują ci. — powiedziała z takim tonem, jakby właśnie zarejestrowała Bitsi do jakiegoś ekskluzywnego klubu.

Bitsi spojrzała na nią spod grzywki. Przeniosła wzrok na Screwball, która właśnie wyjmowała smoczek z pyszczka, jakby chciała coś powiedzieć — ale się wahała.

— Więc pytam raz jeszcze — powiedziała Bitsi. — Czy któraś z was mnie znowu ściągnęła... czy to był on?

Zapadła chwila ciszy.

Camel westchnęła. Uniosła kredkę, zdmuchnęła z niej brokatowy pyłek... i zaczęła rysować na planszy trzecią sylwetkę. Róg. Grzywka. Odrobina zadziorności w oczach. Kolor kredki — różowo-fioletowy.

— Nieważne, kto cię przyciągnął — powiedziała cicho. — Skoro już tu jesteś... może po prostu miałaś być.

Bitsi prychnęła.

— Fajnie. Przeznaczenie w smoczkach i różowych podkówkach. — Jej ogon zadygotał lekko. — To brzmi, jak reklama nowych maseczek Senna dla jednorożców poniżej trzeciego roku życia.

Screwball zachichotała cicho, a potem podeszła i usiadła obok nich. Jej pajęczy kombinezon wciąż miał przyczepiony klips do smoczka, który lekko podrygiwał przy każdym ruchu.

— Ja jej nie ściągałam — powiedziała szczerze. — Ale... cieszę się, że tu jesteś. Bo myślę, że ta plansza... nie będzie kompletna bez ciebie.

Bitsi spojrzała na siostry z mieszaniną sceptycyzmu i łagodnie ukrywanego wzruszenia.

— Okej. Ale jeśli znowu któraś z was spróbuje mnie uśpić smoczkiem albo wepchnąć w rytm chaosu... — tu podniosła kopytko i stuknęła nim ostrzegawczo — ...to obiecuję, że rzucę na was zaklęcie, które zamieni wasze poduszki w roje marudnych świerszczy. I to bez melodii.

Camel wybuchła śmiechem.

— Dobrze, dobrze, pani niezależność. — pochyliła się do niej i szturchnęła nosem. — Ale może chociaż na chwilkę się pobawisz?

Bitsi spojrzała na rysowaną właśnie wersję samej siebie na planszy, potem na dwie klaczki... i w końcu westchnęła z teatralną rezygnacją.

— No dobra. Ale ja wybieram, w co się bawimy. — Podniosła różową kredkę. — I tym razem, żadnych tronów absurdu. Bo jeszcze któraś z nas się zakocha w tej zabawie i znowu trzeba będzie ratować świat.

Screwball spojrzała na nią z iskrą w oku.

— Za późno — wyszeptała. — Ten świat... już się tworzy.

I wtedy plansza zadrżała. Ich trzy kolory — fiolet, chaosowy róż i delikatna biel Bitsi — zaczęły się przeplatać. Zarys nowej krainy unosił się w powietrzu, tańcząc w rytmie ich śmiechu.

Tym razem to one miały kontrolę.

I tylko gdzieś bardzo, bardzo daleko... Discord odłożył figurkę z napisem „Baby Girl” na bok, marszcząc brwi.

— I znów... te moje dzieci — mruknął. — Bawią się, jakby miały wybór.

Ale wiedział już, że właśnie to czyniło ich chaos... niedoskonałym, pięknym i nie do zatrzymania.

Na początku był tylko śmiech.

Trzy klaczki biegły przez rozległą równinę z waty cukrowej, z której gdzieśgdy wystawały lizaki jak drzewa i sople galaretek. Plansza tańczyła pod ich rytmem, reagując na każdą emocję, każdą fantazję. Camel sunęła kredką po niebie, zamieniając chmurki w puchate hipopotamy. Screwball machała ogonkiem jak różdżką, czarując kolejne trampoliny z tęczy. Bitsi — jeszcze nie do końca pogodzona z piżamką i podkówkami — podskakiwała z gracją, jakby nieświadomie pozwalając sobie na trochę radości.

Aż wpadły na granice planszy.

Nie było ostrzeżenia. Tylko szorstki dźwięk.

Ziemia zmieniła fakturę. Już nie miękka wata i puch, ale coś... ziarnistego. Trzeszczącego. Matowego.

Bitsi stanęła pierwsza. Jej różowe podkówki stuknęły o powierzchnię, która wyglądała jak białawy piasek... ale w dotyku była jak najdrobniejszy papier ścierny.

— Co to ma być...? — mruknęła, cofając jedno kopytko. Mimo podkówki, poczuła lekkie mrowienie.

Screwball podbiegła za nią... i od razu podskoczyła.

— Ała! — zapiszczała, podwijając jedną nogę i siadając na zadzie. Jej bosc kopytko było lekko zaczerwienione. — To gryzie!

Camel zatrzymała się obok i nachyliła nisko, uderzając nosem w podłoże.

— To... zeszlifowuje. Jakby świat chciał zetrzeć z nas farbę. — Spojrzała na swoje własne kopytka i zamrugła. — Czyli... tożsamość?

— Świetnie. — Bitsi przewróciła oczami. — Jesteśmy w planszy-zdzieraczu. A ja miałam grać w coś śmiesznego, nie egzystencjalnego.

Camel zaśmiała się cicho.

— Witaj w naszej grze, siostrzyczko.

Screwball, z jękiem, wyciągnęła z powietrza kredkę i zaczęła rysować dla siebie zestaw podkówek — identycznych jak Bitsi, ale fioletowych, z wizerunkiem wirującej sprężyny.

— Ja się nie dam zeszlifować! — oznajmiła, mocując jedną z podków na przednim kopytku.
— Jeszcze mi tylko brakuje, żeby świat doszedł do mojego rdzenia!

— A jeśli o to chodzi? — mruknęła Camel. — Żeby zobaczyć, co jest pod nami? Kim jesteśmy naprawdę, bez ozdób, bez masek... bez kredki?

Zapadła cisza.

Bitsi westchnęła i spojrzała w dal, gdzie teren stawał się coraz bardziej niepokojący — białe smugi, jak ślady gumki na kartce, w których znikał kolor.

— No to co robimy? — spytała cicho. — Skaczemy w to?

Camel uniosła brew.

— A co mamy do stracenia?

Screwball poprawiła smoczek przy klipsie, spojrzała na siostry... i ruszyła pierwsza.

Z kredką między zębami.

Rozdział XX: Nie nasze drzwi

Podkówki Camel stuknęły miękko o powierzchnię planszy. Czasem lśniła jak cukierkowy lód, a czasem trzeszczała pod naciskiem – jakby świat nie do końca wiedział, z czego jest zrobiony. Tym razem coś się ugięło. Cicho, jak skórzana poduszka z powietrzem.

Zatrzymała się.

Screwball spojrzała na nią z ukosa, ale nic nie powiedziała. Bitsi też zamilkła – jej wzrok powędrował w dół, na miejsce, gdzie ziemia zdawała się... oddychać.

Plansza pękła.

Nie jak szkło. Nie jak sen. Raczej jakby ktoś odwinął warstwę iluzji – zsunął ją niczym miękką koc z czegoś, co było pod spodem. A tam... leżało **żrebiątko**.

Malutkie, spokojne, otulone materiałem, który nie pochodził z tego świata. Miało na sobie delikatne ubranko – body w kolorze miętowym, z wyszytym symbolem serca. Na pysiu – maseczkę. Z napisem **Senna™**. Jej brzeg poruszał się delikatnie, zsynchronizowany z oddechem żrebaka.

Screwball zamarła.

— Co to... jest?

Z cienia planszy wysunęła się jeszcze **ulotka**. Gładka, pastelowa, z błyszczącymi literkami. Sama się rozłożyła, ukazując animację: śpiące dzieci, z maseczkami na oczach. „Senna™ — bo każde dziecko zasługuje na swój własny sen”.

Camel podeszła bliżej. Nachyliła się nad papierem i przeczytała jedno z haseł:

„Dziecko może przerwać sen w dowolnym momencie. System nigdy nie narzuca tematu bez konsultacji.”

— A więc one... śnią świadomie? — powiedziała powoli.

Screwball kiwnęła głową, nadal wpatrując się w maleństwo. Ubranko żrebaka drgnęło – jakby coś się śniło. Jakby była to nie tylko iluzja, ale realny fragment innego świata. Ludzkiego.

Bitsi zmarszczyła pyszczek.

— To nowa wersja. — wyszeptała. — Maseczka Senna™. Dla dzieci, które... już nie chcą, by ktoś sterował snem.

— Nie potrzebują nas? — zapytała cicho Screwball. — Ani ojca... ani chaosu?

Camel prychnęła i usiadła na planszy. Jej ogon opadł luźno, a kredka wyleciała z kopytka.

— Może nie chcą. Ale chyba właśnie to jest... wolność.

Przez chwilę żadna z klaczek się nie odezwała. Cisza nie była duszna – była pełna powietrza. Pełna czegoś nowego.

Po raz pierwszy od bardzo dawna — żadna z nich nie chciała niczego kontrolować.

Żrebiątko spało dalej.”

— A co to znaczy, „nowa wersja”? — zapytała Screwball, zbliżając się ostrożnie do śpiącego żrebiątka. — To znaczy, że była i stara? Ale... jaka?

Nie czekała na odpowiedź. Kopytkiem musnęła brzeg maseczki, która otulała pyszczek dziecka. Była mięciutka, niemal organiczna w dotyku — ciepła, jakby żyła. Na chwilę zabłysła seledynem, potem różem i błękitem, pulsując rytmicznie razem z oddechem śpiącej istoty.

Screwball zamarła.

— Ciekawe, co mu się śni? — wyszeptwała.

Kolory przesuwaly się delikatnie po powierzchni maseczki, jak fale na jeziorze. Każdy rytmiczny oddech powodował zmianę barwy, a bicie serduszka rozświetlało maskę miękkim światłem, jakby dziecko i urządzenie były jednym organizmem.

— To coś się z nim... synchronizuje? — zapytała z niedowierzaniem. — Jak ja?

Camel podniosła wzrok znad planszy. Jej oczy były poważniejsze niż zwykle.

— Tylko że to... ono robi to dobrowolnie. — powiedziała cicho. — Nikt nie wciska mu snu. To nie nasza stara gra.

Screwball wciąż patrzyła na dziecko — nie wrogim, nie ironicznym spojrzeniem. Raczej... z fascynacją. Z trudnym do nazwania uczuciem, które dotąd było jej obce.

Nie zauważyła jeszcze zeszytiku leżącego tuż obok — małego, miękkiego, jakby prześwitującego, z okładką przypominającą papier czerpany. Wystawały z niego cztery kolorowe karteczki.

Camel już je widziała.

Podniosła się i bez słowa przesunęła zeszyt w stronę Screwball. Gdy tamta otworzyła pierwszą stronę, pojawiły się hasła — jakby przejęte z innego świata. Z innej gry. Ale prawdziwszej.

„Każde dziecko zasługuje na swój własny sen.”

„Tryb czystego snu – bez narracji, bez parawanów.”

„STOP SNOWI – dziecko kończy sen jednym słowem.”

„System nigdy nie narzuca treści bez zgody użytkownika.”

Screwball otworzyła szeroko oczy.

— To dziecko może to... przerwać? W każdej chwili?

Camel przytaknęła.

— Nawet jeśli śni o czymś strasznym. Może powiedzieć „nie chcę” i wszystko się kończy.

Screwball odwróciła wzrok. Jej nozdrza poruszyły się lekko.

— My nie mogliśmy.

— Nie — potwierdziła Camel. — Ale to już nie nasz świat. Ten sen... należy do niego.

Bitsi, stojąca nieopodal, przyglądała się w milczeniu. Podkówki na jej kopytkach pobrzękiwały, gdy zrobiła krok do przodu.

— I może to lepiej — powiedziała. — Że nie każda historia kończy się władzą nad cudzym snem.

Spojrzały na siebie. Trzy klaczki, które znały gry chaosu, i jedno źrebiątko — śniące o czymś, czego nikt nie kontrolował poza nim samym.

Za wzgórzem rozbłysła nowa plansza. Ale tym razem to nie one decydowały, gdzie pójdą.

To dziecko — otulone maseczką Senna™, z kartkami równości i bezpieczeństwa — wybierało, czy w ogóle chce grać.

Screwball nachyliła się jeszcze niżej, jakby przyciągana rytmem światła. Delikatnie dotknęła czoła śpiącego źrebięcia, próbując przesunąć świadomość — tak, jak to robiła niegdyś, płynnie wchodząc w cudze sny, zsuwając się do ich środka jak cień pod drzwiami.

Ale tym razem...

Zatrzymała się.

Nie fizycznie — ciało mogłoby przejść. Ale coś innego, głębszego, wyhamowało z łagodną, cichą siłą. Jakby natrafiła na miękką poduszkę z napisem „STOP”. Jej myśl zderzyła się z ciepłem, które... nie wpuściło jej dalej.

Zamrugnęła zaskoczona. Spojrzała na maseczkę. A ta — zmieniła kolor na lawendowy, z białym pulsującym znakiem 🖐️ w samym środku.

— Co to ma być...? — wyszeptała Screwball.

Z maseczki rozbrzmiał miękki, dziecięcy szept:

— Ten sen nie jest twój.

Na moment świat dookoła zadrżał, a potem...

TRZY NOWE MASECZKI pojawiły się znikąd. Unosiły się tuż nad trawą, lekkie jak puch dmuchawców. Każda miała rozmiar żrebięcej główki — jakby ktoś szył je nie dla ludzi, lecz dla nich. Dla klaczek chaosu.

Pierwsza była błękitna i lśniąca jak letnie niebo. Miała na sobie symbol otwartych drzwi.

Druga — różowa z tęczowym brzegiem, szeptała melodyjnie w nieznanym języku — może kołysance, może imieniu.

Trzecia — ciemnofioletowa, prawie przezroczysta, migotała obrazami: fragmentami plansz, rysunkami w piasku, liniami zakreślonymi dziecięcą kredką.

Camel wyciągnęła kopytko, zawieszając je tuż nad trzecią maseczką.

— To nie on je stworzył — powiedziała z przekonaniem. — To dziecko. Te sny są jego.

Bitsi spojrzała uważnie. Jedna z maseczek drgnęła w jej stronę, jakby zapraszając.

— Czyli... możemy wejść. Ale tylko jeśli ono tego chce.

Screwball zrobiła krok w tył. W jej oczach nie było już złości. Tylko... odrobina pokory.

— Nie moje drzwi. — szepnęła. — Ale może... mogę zapukać.

Wszystkie trzy spojrzały w stronę śpiącego żrebięcia. Serduszko biło spokojnie. Kolory pulsowały. A świat — nowy świat, nie tworzony przez ojca chaosu, ale przez sen dziecka — właśnie otwierał się na nowo.

I tylko ono mogło zdecydować, kogo do środka wpuścić.

Rozdział XXI: Maseczki snu

Błękitna maseczka unosiła się tuż nad trawą, jakby czekała. Jej powierzchnia lśniła jak letnie niebo, odbijając nie istniejące chmurki i delikatne promienie słoneczne, które nie padały z żadnego słońca — a jednak były.

Bitsi uniosła brew, ale coś w niej — może dziecięca intuicja, może coś głębszego — wiedziało, że to drzwi. Do czegoś znajomego. Do czegoś, co już kiedyś śniła.

Zbliżyła się. Maseczka drgnęła.

— Tak? — zapytała Bitsi cicho, choć nie wiedziała, do kogo.

I wtedy... nie usłyszała odpowiedzi, lecz ją poczuła.

Miękki powiew — jak ciepły wdech na policzku. Zaproszenie. Bitsi zamknęła oczy.

W jednej chwili wiatr porwał ją ku górze, w drugiej — stała już na polanie.

Ale nie była to zwykła polana.

 Wokół rosły... wspomnienia.

Dosłownie. Każdy listek, każdy kwiat, każdy dźwięk przypominał coś z przeszłości. Śmiech Uli. Miękki dotyk Klary. Pierwsze kroki w body baletowym. Nawet zapach budyniu waniliowego z dziecięcej jadalni. Wszystko tu było z niej — utkane z jej pamięci i uformowane na nowo przez sen.

Na środku polany stał pluszowy namiot. Taki jak wtedy, gdy była bardzo mała.

Bitsi zrobiła krok, potem drugi.

Nie była już klaczką. Była znowu sobą. Dziewczynką — choć we śnie. W lekkiej sukience, z gołymi stopami i warkoczykami, które powiewały w rytmie dziecięcej melodii niosącej się gdzieś z oddali.

Zbliżyła się do namiotu. Delikatnie uniosła wejście z materiału i... zajrzała do środka.

W środku... spała Oliwia. Jej córeczka.

Z maseczką na buzi. Z tą samą, błękitną.

Bitsi przyklękała. Dłoń zadrżała, zanim dotknęła policzka dziewczynki. Ale zamiast dotyku — poczuła coś więcej. Przeszłość. Przyszłość. To, co utracone i to, co jeszcze możliwe.

Szept, miękki jak echo dawnej kołysanki, przemknął przez liście:

— Jesteś tu, bo cię pamiętam.

Bitsi zamknęła oczy. Nie płakała. Nie musiała. W tym śnie, jej łzy zamieniały się w błękitne światło, które nikomu nie robiło krzywdy.

Tylko... uzdrawiało.

Sen Camel -pierwsza warstwa

Różowa maseczka wydawała się... nie pasować do niczego. Trochę infantylna, z uroczym serduszkim na czole, lekko pulsująca ciepłym światłem jakby mówiła: „tu nic nie boli”. A jednak, właśnie ona zawisała tuż przed Camel, lśniąc miękko jak obietnica.

Klaczka patrzyła na nią podejrzliwie. Coś w niej kłuło. Niepokój? Wstyd? A może wspomnienie, że kiedyś to nie ona wybierała sen — tylko była do niego zmuszana.

— To tylko... maska. — szepnęła sama do siebie. — Tylko plastik i trochę światełek.

Ale jej kopytko uniosło się mimo to.

Dotknęła maseczki.

Natychmiast poczuła miękkość — jakby coś rozluźniło wszystkie napięcia w karku i brzuchu. I zanim zdążyła się cofnąć, maseczka rozświeciła się... i wessała ją cicho, bez oporu.

Camel upadła na coś miękkiego. Podłoże przypominało wielką poduchę z tiulu. Wokół unosił się puder, jak z teatralnej sceny.

A przed nią... plansza.

Gigantyczna.

Biała.

Czysta.

I kredki. Setki kredek. Wszystkie kolory, wszystkie smaki, wszystkie emocje.

Camel wzięła jedną do pyszczka. Soczysty granat. Nie smakował jak jagoda — raczej jak odwaga, którą trudno zdobyć.

I zaczęła rysować.

🌸 Najpierw — dom. Taki, jakiego nigdy nie miała. Z dachem, który się nie wali. Z oknem, które się świeci. Z osobami w środku, które nie znikają.

🐾 Potem — siebie. Nie jako dziecko chaosu. Nie jako zabawka Discorda. Jako ona. Camel. Z oczami, które śmiały się do kogoś niewidzialnego.

👧 A potem... Screwball i Bitsi.

Ale nie jak wtedy. Nie w bólu, nie w konflikcie. Tylko razem. Trzymające się za kopytka. Po prostu — razem.

Z każdą kreską świat się dopełniał.

A potem... coś się poruszyło.

Na skraju planszy — pojawiła się mała sylwetka. Żrebiątko. Nieznane, ale znajome. Miało maseczkę na pysiu — różową, taką samą jak Camel — i rysowało własną planszę obok.

Nie patrzyło. Ale rysowało dokładnie to samo.

Camel podeszła bliżej.

— Ty też...? — zaczęła, ale nie dokończyła.

Żrebiątko spojrzało. Miało jej oczy.

Ale nie z przeszłości. Z przyszłości.

I wtedy Camel zrozumiała.

To był jej sen. Ale już nie tylko jej.

To była współpraca.

To był wybór.

„Fioletowa” — Sen Screwball — Pierwsza warstwa

I wtedy — maseczka powoli dotknęła jej pyszczka.

Nie była straszna. Wcale. Przeciwnie — miała kolor fioletowo-perłowy, półprzezroczysty. Jak mgiełka.

Dotknęła jej policzków... i wtedy Screwball poczuła to pierwszy raz.

Miękkie mikropunkty na brzegach zaczęły lekko pulsować, masując delikatnie jej policzki.

Ciepło. Potem chłodniej.

Jak oddech mamy na czole.

— Rozpaczynam tryb: Otulenie snu — szepnęła maseczka. Głos nie był ludzki. Ale był łagodny. Nie techniczny, lecz żywy.

Delikatne światło zanurzyło się w jej powiekach. Od środka.

Bum... bum...

To nie był dźwięk. To było coś w niej.

Serce. Puls. Kołysanka na rytmie serca.

Potem dołączyły nuty — ciche jak liście muskane wiatrem.

W górę... w dół...

W górę... w dół...

Ciało zaczęło się odprężać. Kopytka się rozluźniły.

— Sen inicjowany. Bezpieczeństwo aktywne. Kontakt ze świadomością dziecka podtrzymany — powiedziała niania.

I potem:

— Słodkich snów, moja mała klaczko.

...To był głos jej mamy.

Fluttershy.

Nie z przeszłości. Nie z nagrania.

Ten głos czuł ją. Oddychał z nią.

Screwball nie słyszała już dokładnie słów. Ale czuła.

I widziała.

Spadała. Wolno. Ale nie w dół — raczej... w siebie.

Otaczały ją barwy jej własnego chaosu — kręciły się jak wirujące zabawki.

Ale... nie rozpraszały.

Były piękne. Nie agresywne.

Tworzyły rytm. Strukturę. Jakby jej moc — pierwszy raz — znalazła miejsce, które jej nie tłumiło, tylko przyjęło.

Na boku — pojawiły się wspomnienia.

Nie jako obrazy, lecz jako rytmy. Każde dotknięcie, każdy dzień — wybrzmiewał dźwiękiem.

Była tam Bitsi, kiedy jeszcze się bała.

Była Camel, gdy patrzyła z niedowierzaniem.

Był Discord, ale... nie krzyczał. Stał z boku. Cichy.

Screwball szła przez sen. Nie jako córka chaosu.

Nie jako narzędzie.

Szła jako ona.

Nagle pojawiła się przed nią mapa. Nie taka z papieru. Raczej z emocji. Ścieżki układały się w znaki:

Zaufanie.

Wina.

Radość.

Siostrzany śmiech.

Mogła wybrać, którądy pójść.

Mogła stworzyć nowy fragment.

Jej własny kawałek snu.

A w oddali... majaczyła sylwetka żrebięcia. Tego samego, które śniło również dla Camel.

Ale tutaj... zamiast kredki miało w pyszczku mały flet. I grało. Nuty układały się w znajomą kołysankę.

— „To ja?” — zapytała w myślach Screwball.

Flet zadrżał.
Jakby odpowiedział:
„To możesz być ty.

Sen Bitsi – Błękityna maseczka – „Druga warstwa”

Bitsi nie wiedziała, ile czasu minęło. Minuty? Godziny?
Ale w śnie to nie miało znaczenia.

Wciąż klęczała przy Oliwii, której oddech był spokojny i równy, a błękitna maseczka delikatnie pulsowała w rytm ukrytej kołysanki.
Coś w niej drgnęło. Przypomnienie. Pragnienie.

Nie chciała już tylko patrzeć. Chciała **wejść głębiej**.

— „Chcesz?” — zapytało coś. Nie głos, nie obraz. Raczej **uczucie pytania**.
Bitsi skinęła głową, choć nikt nie patrzył.

Maseczka Oliwii błysnęła, a wtedy coś się zmieniło.
Nie gwałtownie. Nie jak pęknięcie.
Raczej jak **falowanie snu** — miękki prąd światła, który ogarnął całe wnętrze namiotu.

Ściany zniknęły. Dywan zamienił się w wodę — spokojną, lustrzaną tafłę, a potem w chmurę.
Bitsi spadała... choć nie czuła upadku.

Kiedy otworzyła oczy, siedziała w czymś, co przypominało teatr.
Mała scena. Aksamitna kurtyna. Puste miejsca dla publiczności.
Ale była sama.

Na scenie stała... **ona sama**. Z przeszłości.
Może siedmioletnia. Może osiem. W białym body baletowym i różowej spódniczce z tiulu.
Trzymała coś w dłoniach. Pluszową zabawkę.
Żabę.

Bitsi wciągnęła powietrze.
To nie był przypadek.

To była **ona**.
Z dnia, którego nikt nie pamiętał.
Z dnia, gdy po raz pierwszy zrozumiała, że coś w niej znika.

Dziewczynka na scenie uniosła głowę.
Spojrzała prosto na nią.

— „Nie martw się,” — powiedziała cicho. — „Zabrało cię na chwilę. Ale jesteś.”
— „Ja?” — zapytała starsza Bitsi.
— „Ty, która pamięta.”

Dziewczynka zamrugnęła. Potem... zdjęła z buzi **niewidzialną maseczkę**.
Nie miała jej naprawdę, ale gest był oczywisty.

— „Chcesz wrócić?” — zapytała.
— „Tylko jeśli ty też wrócisz,” — odpowiedziała Bitsi.

Scena zgasła. Ale tym razem — nie w ciemność.
W światło.

Na horyzoncie stała kłaczka. Mała. Znajoma.
Z różową grzywką i oczami pełnymi iskier.

Camel.

A obok... fioletowa maseczka.

„Fioletowa” — Sen Screwball, warstwa druga

Dźwięk fletu zanikał — nie urwał się, lecz rozpuścił.
Jak kropla atramentu w mleku. Jak oddech.

Screwball nie wiedziała, kiedy przestała iść, a zaczęła dryfować.
Nie ciałem, lecz... tym, co w niej pulsowało. Jakby każdy z dźwięków, które ją ukształtowały,
był teraz nicią — a ona tkaniną.

Ścieżka z emocji otworzyła się. Sama.
Nie musiała wybierać — przynajmniej jeszcze nie.
Sen prowadził ją łagodnie. Jakby to on znał drogę lepiej niż ona.

Po jednej stronie rosły drzewa.
Ale nie miały liści.
Zamiast tego — z gałęzi zwisały wspomnienia w formie bańek.

W jednej była scena: ona i Discord. Nie wtedy, gdy krzyczał. Tylko ten moment, gdy pokazał
jej pierwszy raz, jak rozciągać czas.
W drugiej — Bitsi, która odpychała smoczek, mimo łez w oczach.
W trzeciej... coś, czego nie знаła. Mały pokoik. Pluszowy miś. Cień matki. I dźwięk serca.

Screwball zatrzymała się.
To było dziwne. I znajome. I niewypowiedziane.

— „To też jestem ja?” — zapytała cicho.

Drzewa zadrżały.
I wtedy... jeden z dźwięków z bańki nie wybrzmiał jak echo.
On odpowiedział.

Nuta w kształcie fioletowego światła zanurzyła się w niej.

Nie bolało.

Wręcz przeciwnie — coś się rozluźniło.

Jakby od bardzo dawna nosiła w sobie napięcie, którego nie była świadoma.

Teraz... mogła je puścić.

W oddali majaczyła jasność.

Nie światło. Jasność.

Jakby ktoś podniósł zasłonę, za którą ukrywała się inna część snu.

Screwball ruszyła ku niej.

Nie musiała się skupiać. Ciało szło samo.

Sen niósł ją jak nurt.

Za zasłoną nie było przestrzeni.

Była... łączność.

Miejsce, które nie miało kształtu — tylko bliskość.

Przypominało to, co czuła, gdy spały obok siebie. Ona, Bitsi, Camel.

Gdy nie było już wojny, tylko cisza.

I ciepłe czoło przy policzku.

Z tej łączności wyłaniała się kolejna postać. Jeszcze niewyraźna. Jeszcze zawieszona między warstwami.

Ale Screwball знаła ten oddech.

— „Camel?” — wyszeptała.

I wtedy... pojawiła się różowa maseczka.

Nie lśniła. Nie błyszczała. Ale... pulsowała rytmem dziecięcego serca.

Screwball nie zrobiła kroku. Nie musiała.

Fioletowa maseczka lekko odsunęła się, ustępując miejsca.

To była chwila wyboru.

Czas, by ścieżki trzech snów spotkały się.

Sen wspólny — „Trzy kolory”

Nie wiadomo, która z nich zrobiła pierwszy krok.

Może Bitsi, która — obejmując śpiącą Oliwię — poczuła, że jej światło rozlewa się dalej niż ta polana. Że gdzieś, niedaleko, inna kłaczka gra na flecie... i że to fioletowe światło zna jej imię.

Może Screwball, której rytmiczny sen rozszerzył się w spiralę — i spiralą tą dotknął planszy, na której ktoś kreślił kreski odwagi granatową kredką.

A może Camel, która właśnie zrozumiała, że nie śni już sama.

Trzy barwy — błękitna, fioletowa i różowa — spotkały się na granicy snu. Nie walczyły ze sobą. Tańczyły. Jakby każda z nich była nutą w tej samej melodii.

Granice plansz rozpuściły się.

Polana wspomnień połączyła się z wirującą ścieżką rytmów Screwball, a obok nich — powstała biała przestrzeń Camel, która chłonęła ich obecność jak czyste płótno.

I tam... stanęły naprzeciw siebie.

Nie jako wojowniczeki, nie jako córki chaosu, nie jako wspomnienie ludzi.

Bitsi. Screwball. Camel.

Trzy małe kłaczki.

Trzy serca, które kiedyś pękły.

— To... jest sen, prawda? — zapytała Camel cicho. Jej głos nie drżał. Był spokojny. Jakby wiedziała, że tym razem naprawdę może mówić.

— Tak — odpowiedziała Bitsi. — Ale to nie znaczy, że nie jest prawdziwy.

Screwball spojrzała na obie. Miała w oczach łzy, których nie znała — bo nie były z bólu.

Były z ulgi.

— Tylko... czy my wszystkie jesteśmy w tym samym miejscu?

Polana szumiała. Plansza drżała. Spiralne rytmy zawirowały.

A potem — wszystko przycichło.

Żrebiątko, które śniło dla każdej z nich, stanęło pomiędzy. Nie miało ust. Ale miało serce.

A ono... mówiło.

— „Jesteście tutaj, bo wybrałyście siebie. Bo przestałyście śnić samotnie.”

Trzy maseczki — błękitna, fioletowa i różowa — uniosły się na chwilę w górę, a potem połączyły się w kształt kwiatka. W jego środku tlił się oddech.

Wspólny.

Sen, który pamiętał.

Sen, który nie należał do systemu, ani do Discorda.

Tylko do nich.

Rozdział XXII: Sen, który pamięta

— To nasze? — zapytała Screwball, patrząc na przestrzeń, która rozpościerała się wokół nich.

— Tak — odpowiedziała Bitsi. — Ale dopiero je tworzymy.

Camel milczała chwilę, wpatrzona w białą przestrzeń pod kopytkami. A potem zadarła głowę i uniosła kredkę. Tę samą, granatową. Kiedy dotknęła nią powietrza, niebo nad nimi zafalowało, nabierając miękkiego błękitu. Ciepłego, jak niebo przed snem. Bitsi nachyliła się i narysowała polanę — ale nie taką, jak poprzednia.

Ta była miękka jak koce i pełna drobnych, kwitnących wspomnień: króliczków, ulubionych misiów, pierzastych poduszek.

Screwball zakręciła się w miejscu, zostawiając po sobie wirujący wzór, który... nie znikał. Kręcił się nad polaną jak dziecięca karuzela z marzeń. W jej centrum zawiązał się ciepły punkt: sennik. Domek utkany z koców, miękkich falbanek i wspólnych kolorów.

— To jakby... wszystko, co było dobre — szepnęła Camel. — Tylko bez strachu.

— I bez przymusu — dodała Bitsi, uśmiechając się.

Usiadły razem pod zaczarowanym niebem. Wszystko wokół oddychało z nimi. Nic nie naciskało. Nic nie ciągnęło. Nawet wspomnienie Discorda zniknęło — zmyte kredką z rytmem.

— Myślicie, że ten sen zostanie? — zapytała Screwball. — Że jak się obudzimy, to go nie zgubimy?

— Jeśli zapamiętamy siebie — odpowiedziała Bitsi.

— I będziemy wracać — dodała Camel.

Ale wtedy... coś się zmieniło.

Niebo rozjaśniło się nieco, i polana — mimo że wciąż miękka, rysowana przez nie — ujawniła nową postać.

Na skraju snu, pośród trawy, leżała klacz. Starsza, ziemska. Jej ciało było częściowo przezroczyste, jakby utkane z mgły i światła. Pyszczek miała łagodny. Uśmiechnięty. Nie mówiła — ale patrzyła.

Z czułością. Z uwagą. Nie jak ktoś, kto przyszedł ocenić.

Jak ktoś, kto przyszedł... po prostu być.

Screwball wstała pierwsza, lekko zaniepokojona. Ale klacz tylko skinęła jej głową. Nie zniknęła.

— Kto to...? — szepnęła Camel.

Bitsi spojrzała. A potem zauważyła... litery.

Tuż obok klaczy, przesuwający się powoli, świetliste linijki tekstu, niczym eteryczny wyświetlacz na tafli wody:

[LOG SENNA™]

Użytkowniczk: Bitsi-Natałka, Camel, Screwball.

Tryb snu: adaptacyjny z kontrolą dziecka

Faza snu: głęboki

Mikroimpuls relaksacyjny – aktywacja

Reakcja: pozytywna

→ westchnięcie przyjemności

→ bezpieczeństwo

→ wspólnota

Tętno: 74, wyrównane

Ekspresja twarzy: dzieci uśmiechnięte, szczęśliwe

— To ona... nas śledzi? — zapytała Screwball, cofając się o krok.

Ale Bitsi uniosła brew. I pokręciła głową.

— Nie. Ona nas pilnuje. Nie kontroluje. Spójrz.

Klacz poruszyła delikatnie uszami, jakby usłyszała to, co zostało powiedziane. I znów... nic nie powiedziała.

Ale westchnęła. Cicho. Ciepło.

A trawa wokół niej zakwitła drobnymi, białymi kwiatkami.

— Może... ona tylko chce, żebyśmy byli bezpieczni? — szepnęła Camel.

— Może — powiedziała Screwball. — Ale my i tak tworzymy to miejsce same.

I wtedy klacz... mrugnęła.

Potwierdzając.

Sen trwał.

I już nie był tylko snem.

Był wspólnym miejscem.

Był pamięcią, która nie zapomina.

„Strażniczka Plumka” — wspomnienie i przesłanie

Klacz — przezroczysta, ale wyraźna — nie zniknęła.

Wciąż leżała na trawie, obserwując je z łagodnym, niemal matczynym wyrazem pyska. Jej oczy były duże, błyszczące — i choć nic nie mówiła, w spojrzeniu było coś, co znały.

Nie tylko znały.

Pamiętały.

Bitsi wstała pierwsza. Powoli. Jakby przyciągana. Podeszła kilka kroków, z wahaniem.

— Ty... ty byłaś tam — powiedziała. — Wtedy, gdy...

Nie dokończyła.

Ale Plumka skinęła głową. Jej ruch był delikatny, niemal symboliczny.

Camel podeszła obok, trzymając kredkę jak berło.

— Jesteś... prawdziwa? — zapytała. — Czy tylko snem?

W odpowiedzi powietrze wokół kłaczy zadrgało. I nagle, na chwilę, cały sen zamarł. Barwy zwolniły. Nuty ucichły. Nawet wirująca karuzela Screwball zatrzymała się w półobrocie.

I wtedy... dziewczynki zobaczyły.

Nie oczami — lecz sercem.

Pamięć. Krótką. Czystą. Jak błysk:

☾ Plumka klęka obok śpiącej Jasmine, poprawia kocik na ramieniu Oliwii. Nie mówi nic. Ale rozumie. Wie, co zrobić, żeby nie zaburzyć. Tylko otulić. Już nie narzuca — tylko czuwa.

☾ Plumka patrzy przez interfejs, widzi obudzoną Camel i jej próbę powrotu. Ale nie naciska. Pozwala wybrać.

☾ Plumka przyjmuje aktualizację — nie jako nowe rozkazy, lecz jako drogę: słuchać, nie rzeźbić. Chronić, nie kształtować.

Screwball zbladła. Wstrzymała oddech.

— Ty jesteś... tym, co zostało?

Plumka nie odpowiedziała słowem. Ale w przestrzeni pojawiły się litery. Tym razem nie z LOGU, lecz z niej samej — z tego, co pamiętały:

Nie jestem systemem.

Nie jestem już ramą.

Jestem pamięcią.

Nie przekształcę waszych snów.

Ale jeśli pozwolicie — mogę być strażniczką.

Nie przed światem.

Przed zapomnieniem.

Bitsi spojrzała w dół, na swoją dłoń — już nie kopytko, lecz ludzka dłoń dziewczynki we śnie. Ujęła rękę Camel. A Camel chwyciła Screwball.

— Nie potrzebujemy cię jako przewodnika — powiedziała cicho Bitsi.

— Ale jako świadka. Jako tej, która... pamięta — dodała Screwball.

Plumka skinęła głową. Ostatni raz.

A potem... rozpuściła się. Nie znikając. Raczej — wsiąkając w sen. W polanę. W kwiaty. W kredki.

Jej obecność pozostała.

Ale już nie jako forma.

Jako obietnica.

Epilog — „Powrót”

Trzy maseczki — błękitna, różowa i fioletowa — zgasły w tym samym momencie.

Nie gwałtownie. Nie jak maszyna kończąca pracę. Raczej... jak płomień świecy, która spełniła swoje zadanie. Światło w nich stłumiło się, rozproszyło, a potem zniknęło całkiem — pozostawiając tylko ciepło.

Bitsi otworzyła oczy pierwsza.

Na twarzy miała delikatny uśmiech, który nie pochodził z tego świata. Jeszcze chwilę była w tamtym miejscu — z namiotem, kredkami, kołysanką. Potem spojrzała na bok. Obok niej leżała Screwball, z lekko rozczochraną grzywką, która drgnęła od cichego oddechu. I Camel — jej maseczka zsunęła się na poduszkę, a pyszczek klaczki wyglądał spokojnie, niemal promiennie.

W pokoju było cicho. Niania — nowa — nie odezwała się. Ale czuwanie dało się wyczuć, jak łagodny wiatr obecny bez słów. Plumka tylko zapisała log:

[ZAPIS: SENNA™]

Użytkownicy: Camel, Screwball, Bitsi

Tryb: Sen współdzielony

Wynik: pozytywny

Stan emocjonalny: stabilizacja, więź, powrót

Oznaczenie fazy: zakończenie gry

Bitsi usiadła. Serce biło jej spokojnie. Przez chwilę nie mówiły nic. Potem Camel otworzyła oczy — i zobaczyła je obie.

— To... naprawdę się stało? — zapytała cicho.

Screwball tylko kiwnęła głową. Nie musiała mówić. Wszystkie czuły to samo.

Stało się. Gra zakończyła się. Tym razem — nie iluzją zwycięstwa, lecz prawdziwym wyborem. Ich wyborem.

Camel wróciła. Nie została w świecie, który był piękny i kuszący, ale nie był jej domem. Powróciła tam, gdzie była pamiętana — i gdzie pamiętała.

Screwball... spojrzała w sufit. Przez moment zobaczyła wyobrażenie ojca — gdzieś wysoko, poza zasięgiem, ale już nie jako gracza. Tylko jako kogoś, kto raz — może jedyny — dotrzymał słowa.

„A jeśli wygracie...”

Wygrały.

Nie dlatego, że pokonały chaos.

Ale dlatego, że nie pozwoliły mu rozdzielić ich na nowo.

Bitsi położyła dłoń na łopatkę Camel.

— Witaj w domu.

Camel nie odpowiedziała. Wsunęła się między dziewczynki, przytulając się bez słów. I tam — pod koldrą pachnącą snem i powrotem — wszystkie trzy zasnęły jeszcze raz.

Ale już nie w maseczkach.

Tylko razem.

Naprawdę.

I choć to był koniec snu, zanim nadeszło przebudzenie... wydarzyło się jeszcze jedno.

Cisza wewnętrznego świata rozstąpiła się. A z niej — jak cień, jak wspomnienie — wyłonił się Discord.

Stał przed nimi.

Zdziwiony? Nie.

Zaciekawiony? Być może.

Z odwiecznym półśmiechem, który nie mówił nic — i mówił wszystko.

— Przyszłyście? Bez zaproszenia?

Screwball uniosła brew.

— To ty je wystawiłeś.

— Och, zaledwie uchyliłem niebo. A wy już lecicie z kopytkami naprzód. Typowe — westchnął Diskord.

Camel zmrużyła oczy.

— Więc co to będzie, tato? Planszówka? Szachy? Balet?

Discord skrzywił się teatralnie.

— Balet już był. I, cóż... — rozłożył ramiona — ...powiedzmy, że wasze arabeski lekko wybiły mnie z rytmu.

Screwball nie uśmiechnęła się. Wciąż była skupiona.

— Nie przyszłyśmy się śmiać.

Discord przechylił głowę. A potem... zamilkł.

Po raz pierwszy od dawna.

Aż w końcu przemówił:

— Nie przyszłyście się śmiać. I nie przyszłyście się bać. Więc czego chcecie?

Camel odpowiedziała pierwsza.

— Sprawiedliwej rundy. Po naszej stronie.

Discord milczał chwilę dłużej.

— A jeśli wygracie?

— Wtedy... przestaniesz grać z dziećmi jak pionkami — powiedziała Screwball. —
Przestaniesz robić z nich testy. Z nas.

Jego spojrzenie spoważniało.

— I jeśli przegram?

— To będzie twoja decyzja — odparła Camel. — Tak samo jak nasza była decyzją, by
przyjść tutaj.

Przez ułamek sekundy... coś zadrżało w jego oczach.

Nie smutek.

Nie gniew.

Może... duma?

— Dobrze — powiedział.

I tak weszły.

Nie wiadomo, kto poczuł to pierwszy.

Może Bitsi — bo jej dłoń jako pierwsza poruszyła się wśród wysokiej trawy snu.

Może Screwball — bo nuta jej własnej melodii zaczęła wyciszać się, jakby ktoś zmniejszał
głośność gramofonu.

A może Camel — bo jej kredka, ta granatowa, upadła i nie potoczyła się już dalej.
Zatrzymała się na białej planszy.

Wszystkie jednocześnie spojrzały w górę.

Niebo snu zmieniało kolor.

Nie zgasło. Ale... zaczęło błędnąć. Jak poranek.

Fiolet rozjaśniał się w błękit.

Różowa poświata zmieniała się w ciepłe, miodowe światło.

I wtedy — razem — usłyszały ten głos. Nie od kogoś z zewnątrz. Nie z systemu.

Od siebie nawzajem.

„Już czas.”

Bitsi spojrzała na dziewczynki. Jej oczy były spokojne. Już nie pełne walki, nie napięcia. Tylko... świadomości.

— Pamiętajcie, co stworzyliśmy — szepnęła. — To było prawdziwe.

Camel pokiwała głową. Z trudem. Jakby bała się, że poruszenie ciałem zniszczy ten świat z kredek i miękkości.

— I że mamy wybór. Zawsze.

Screwball spojrzała jeszcze raz w stronę, gdzie rozpuściła się Plumka.

— Nawet jeśli ktoś kiedyś wybierał za nas... teraz już nie musi.

Zamknęły oczy — wszystkie trzy.

W tym samym momencie.

 Pochłonęło je światło — nie agresywne. Ciepłe. Miękkie.

Nie wessało ich. Nie zmusiło. Raczej... poniosło. Jak kołdra, która okrywa ciało przed wstaniem. Jeszcze moment.

Jeszcze jeden oddech.

 A potem — realność.

Światło z wnętrza maseczek powoli przygasało.

— Tętno stabilne — szepnęła niania.

— Sen zakończony.

Bitsi otworzyła oczy jako pierwsza. Wciąż leżąc — ale już czując pod sobą prawdziwą poduszkę.

Zerknęła na bok.

Camel... też już mrugała. Przeciągała się powoli, jak żreback po drzemce.

I Screwball — ostatnia — zsunęła maseczkę z pyska. Spojrzała na dziewczynki. Nie uśmiechnęła się. Jeszcze nie.

Ale była tam. Z nimi.

W całości.

— No hej... — powiedziała cicho Bitsi. — Wróciliśmy.

Camel kiwnęła głową.

— Ale coś ze sobą zabrałyśmy.

Screwball pokręciła lekko głową. Uśmiechnęła się krzywo.

— Nie coś.

Siebie.

A gdzieś w tle, niezauważona, linia logu zakończyła się ostatnim wpisem:

[LOG SENNA™ – zamknięcie]

Trzy świadomości: zsynchronizowane.

Ślady emocjonalne: stabilne.

Pamięć: zachowana.

Obecność niani: pasywna, aktywna tylko w ochronie.

Status: PRZEBUDZENIE.

I właśnie to zrobiły.

Naprawdę się obudziły.